

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 10 GRUDNIA 1927 ROKU

NR 50

TREŚĆ NUMERU: Trzeba mieć odwagę swych czynów—*Natalja Jastrzębska*. Kilka słów w sprawie „Ustawy o ustroju szkolnictwa” — *J. Młodowska*. Stanisław Przybyszewski — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Wiersze: „Bóg silnych”, „Rytmiczna chwila” „Stan łaski”—*I. K. Młakowiczówna*. Wspomnienia z roku 1831 na Litwie — *Gabryela z Güntherów Puzynina*. Profesor (c. d.) — *Max Wit.* Kaczęta (powieść) c. d.—*W. Miłaszewska*. Zofja Casanova - Lutosławska członkiem polskiego klubu literackiego—*Janusz Herlaine*; Z teatrów—*S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu—*N. J. i H. S.* Z wydawnictw. Zagadnienia psychotechniki — *Piotr Macewicz*. Ogródki działkowe — *W. D.* Słodczyce gwiazdkowe — *Hanna W.* Grudzień w gospodarstwie domowym — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”: *Kapelusze—Well*. Nowy rodzaj aplikacji. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring* — autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

TRZEBA MIEĆ ODWAGĘ SWYCH CZYNÓW

Narzekamy ogólnie na to, że choć jesteśmy konstytucyjnie równouprawnione, to w życiu nie mamy równego dostępu do wszystkich stanowisk, a zwłaszcza—kierowniczych.

Najdotkliwiej daje się to odczuć kobietom pracującym. W biurach, fabrykach, w handlu, przemyśle—wszędzie kobiety są siłami pomocniczymi.

Fakt to zresztą nietylko u nas, lecz powszechnie w całym świecie stwierdzony. Świeża statystyka wiedeńska wykazała, że tylko 2 procent buchalterek stolicy zajmuje stanowiska kierownicze. We Francji jest jeszcze gorzej, o ile nie chodzi o właścicielki przedsiębiorstw; nawet w Ameryce, na którą wskazujemy zawsze jako, na przykład samodzielności kobiet i pełnego ich równouprawnienia. Jako najistotniejszy postulat, wysuwają kobiety traktowanie pracowników narówni z pracownikami, dopuszczanie kobiet do stanowisk wyższych i kierowniczych.

Tymczasem dzieje się tak, że kobiety, równe zupełnie mężczyznom wykształceniem i przygotowaniem fachowym, pracują, jako siły pomocnicze, pod ich kierownictwem. Nie dość tego: w Warszawie zdarzył się fakt, że znana i wybitna ekonomistka, doktorka ekonomji, znana autorka wielu dzieł i powaga w swoim zakresie—pracowała pod kierunkiem jakiegoś naczelnika, nie posiadającego bodaj nawet uniwersyteckiego stopnia!

A przyczyna tego stanu rzeczy?

Otóż, może oburzą się szanowne czytelniczki, niemniej jednak musimy stwierdzić, że jedną z najważniejszych przyczyn są — same kobiety.

Kobiety pracują naogół dobrze, pomimo różnych frywolnych piosenek o pięknej „electric girl”, co to „pracowała w biurze, nie robiąc nic”, i anegdotek o „biurowych aniołach”. Każdy uczciwy szef i pracodawca stwierdzi, że są sumienne, pracowite i obowiązkowe. Wykształcenie fachowe i ogólne, młodsze zwłaszcza pokolenie kobiet posiada w tym samym stopniu, co młodzież męska; upadł już nawet od czasu wojny osławiony argument, że kobiety traktują swój zawód przejściowo—do zamążpójścia: dziś każda prawie mężatka pracuje,—to wszystko prawda. Ale jest jedna wada, która psuje kobietom życie i utrudnia dostęp do wyższych stanowisk — wszędzie, — w urzędach państwowych, w handlu, przemyśle, w wolnych zawodach — nawet w polityce.

Kobiety boją się odpowiedzialności!

Popatrzmy uważnie wkoło. Na zebraniu społecznym, w związku zawodowym, w stronnictwie politycznym, wszędzie, gdzie chodzi o pracę — staje odrazu cały zastęp kobiet, gotowych do pomocy. Ale spróbujmy namówić którą z tych pań do podjęcia odpowiedzialnej akcji, ujęcia steru, stanięcia na czele — akurat! Odrazu usłyszymy zwykłe i tak już znane, że aż denerwujące: pomagać będę jaknajchętniej — wszystko zrobię, ale... kierować nie będę; odpowiedzialnym przedstawicielem musi być ktoś inny.

Istotnie, musi być i... zwykle jest. Poczem po doprowadzeniu do końca jakiegoś zamiaru, słyszymy, jak ów stojący na czele i biorący odpowiedzialność, zbiera też owoce akcji, przyczem — musimy to przy-

znać z całą sumiennością—zaznacza zwykle, że sprawa zawdzięcza połowę powodzenia pełnej poświęcenia, zapалу i t. p. i t. p. pomocy pani lub pań etc.

Właśnie—pomocy i tylko pomocy, i to jest najsmutniejsze.

Przed wojną, gdy jeszcze Polska Partja Socjalistyczna działała konspiracyjnie, istniało utarte konspiracyjne, a dość pogardliwe wyrażenie: „pomagier” i „pomagierka”. Taki „pomagier” nosił „bibułę”, robił, co mu kazano, nic nie wiedział, w niczem nie miał głosu. Wpadał zresztą też często w ręce policji, a pracował, jak wół; był taką sobie milczącą rybą partyjną. Otóż, ile razy słyszę kobiety, które chcą tylko wszystko robić, a nie stanąć nigdzie na odpowiedzialnem stanowisku, mam ochotę powiedzieć z pasją: „pomagierki”!

Tą drogą nie osiągnie się żadnego znaczenia.

Życiu nie można ani się z ugrzecznieniem kłaniać, ani się z niego wymigiwać. Z życiem trzeba brać się za bary, a często brać je samo zgóry za głowę, inaczej ono po nas przejdzie, gdyż nie lubi niejasnych sytuacji. Najlepszy tego dowód mamy w parlamencie. Nie może tu być żadnej już różnicy. Według naszej np. Konstytucji — poseł i posłanka wchodzi do Sejmu wybrani na równych zasadach, równi sobie. Nic nie pomoże — życie zrobiło zaraz swoją korektę: — czy jest która kobieta marszałkiem, wicemarszałkiem, prezesem klubu politycznego, leaderem stronnictwa? — Nie! No, bo żadna swego stronnictwa nie utworzyła — nie stanęła na czele, nie wzięła odpowiedzialności. Pracują zato wszystkie bardzo sumiennie! Dunin-Markiewiczowa umiała wziąć na siebie odpowiedzialność. Rzucić hasło oporu Irlandji prze-

ciwko Anglii, stanąć na czele powstańców, prowadzić przez lat dziesięć nieugiętą walkę. To też nazwisko jej i jej sława wysunęły się na czoło.

Jeżeli jednak kobieta usuwa się ciągle w cień, wysuwając na światło kogo innego, i chce w tym cieniu wykonywać tylko spokojnie wyznaczoną przez kogoś robotę,—cóż dziwnego, że urobiła się o niej opinia, iż tylko do tego jest zdolna.

Przechodzi to tak stopniowo od wyższych stanowisk i szerszej akcji politycznej i społecznej do zakresu życia pracowniczego, towarzyskiego i t. p.; kobieta „z wieku i urzędu” zajmuje drugo-planowe miejsce.

Bezwzględnie, że na obronę swoją kobiety mogą przytoczyć fakt, iż, właściwie, weszły w życie niedawno, że często jeszcze nie są doń dostatecznie wykwalifikowane i przygotowane. Obawiają się odpowiedzialności, nie mając przeciwko niej puklerza zdolności, wyrobienia, odwagi cywilnej, tej pewności siebie, którą daje praktyka życiowa. Wszystko to prawda; ale to są braki, które musimy forsownie uzupełniać, forsownie dlatego, że dla dobra własnego i naszych dzieci nie wolno nam grać ciągle „podręcznych ról” że toczą się już obecnie na arenie świata sprawy, w których kobieta musi zabrać głos stanowczy i umieć tym głosem przeważyć szalę; a w przyszłości spraw tych może być jeszcze więcej i ważniejszych. Trzeba więc chcieć i umieć zająć dane stanowisko i wziąć na siebie odpowiedzialność.—Brak nam odwagi, wahamy się, wąpimy,—trudno—praktyka nas nauczy bardzo wiele. Chyba pamiętamy wielką i mądrą Kołłątaja zasadę: — że ludzie nie do praw dorastają, ale w prawach rosną!

Natalja jastrzębska.

J. MŁODOWSKA

KILKA SŁÓW W SPRAWIE „USTAWY O USTROJU SZKOLNICTWA”

„Ustawa o Ustroju Szkolnictwa” nacechowana jest bezwątpienia szlachetnem dążeniem ujednostajnienia i udostępnienia najszerzszym masom zdobycia tej wiedzy, jaką zdobyć pozwolą im wyłącznie ich zdolności, niezależnie od ich przynależności stanowej, czy zasobności majątkowej. Że władzom naczelnym, ustawę tę opracowującym, chodzi istotnie o stworzenie czegoś, wedle możliwości ludzkiej, idealnego—świadczy fakt poddania projektu ustawy ocenie, jak najbardziej wyczerpującej, wszystkich, kwestją wychowania młodego pokolenia się zajmujących. Wychodząc z założenia, że wszechstronne omawianie projektu ustawy

może być tylko korzystne, pozwalam sobie zwrócić uwagę na kwestję ujęcia sprawy kształcenia nauczycieli szkół powszechnych.

Sprawę kształcenia nauczycieli szkół powszechnych traktuje ustawa dość sumarycznie, poświęcając jej jeden tylko art. 25 na str. 10 — 11 i str. 51 — 53 w objaśnieniach ogólnych.

W myśl art. 25: „Kształcenie kandydatów na nauczycieli szkół powszechnych odbywa się:

a) na studiach pedagogicznych o kursie co najmniej rocznym, na które przyjmuje się uczniów, posiadających świadectwo dojrzałości w zakresie pro-

gramu pięcioletniej szkoły średniej ogólnokształcącej, lub posiadających przygotowanie, uznane przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego za równoważące dla tego celu;

b) w zakładach, kształcących kandydatów na nauczycieli wychowania fizycznego, oraz przedmiotów artystycznych i technicznych.

Osobom, pracującym w zawodzie nauczycielskim, będzie dana możliwość uzupełnienia wykształcenia na kursach i w zakładach, w tym celu zorganizowanych.

Jednocześnie na str. 51 ustępy 3, 4, 5, oraz ustęp 2 na str. 52 podkreślają ważną rolę, jaką dotychczas odegrały seminarja w przygotowaniu kontyngentu nauczycieli dla szkół powszechnych, i zastrzegają się przed zbyt pismem w zwijaniu szkół tego typu.

Ażeby ocenić motywy, jakie kierowały Ministerstwem W. R. i O. P. przy powzięciu postanowienia zamiany dotychczasowych seminarjów nauczycielskich na gimnazja, zakończone rocznym kursem pedagogicznym—zastanówmy się, czego domaga się myśląca odłam społeczeństwa od nauczyciela szkoły powszechnej. Nauczyciel szkoły powszechnej ma, rozwijając ich wszechstronnie, podać uczniom w sposób, ułatwiający przyswojenie, te wiadomości, które im mogą być w dalszym życiu potrzebne, i ma tych uczniów tak wychować, aby umożliwić im wzięcie udziału w twórczej, kulturalnej pracy swego społeczeństwa, a jednocześnie rozbudzić w nich pragnienie dalszego doskonalenia osobistego. Oto cel, stawiany nauczycielowi przez Kanta, cel, który obecna pedagogja wysuwa również. Widzimy, że w celu tym strona wychowawcza góruje nad stroną dydaktyczną. I słusznie, bo kulturę bogacą nietylko ludzie wyłącznie uczeni, ile dzielni, o ile użyjemy tego słowa w jego łacińskim znaczeniu (virtus).

Aby wychować innych trzeba być samemu wychowanym, a ponadto, trzeba mieć zamiłowanie do wychowywania.

Jak nas uczy pedagogja, zainteresowanie społeczne (a więc i wychowawcze) i zamiłowanie do zawodu budzą się w 13 — 14 roku życia. Czyż nie będzie zatem rzeczą celową, aby w tym wieku kierować młodzieżą do seminarjum, szkoły o tak wybitnym nastawieniu wychowawczem, jakiego nie może mieć i, co stwierdziły liczne wypowiedzenia się pedagogów, nie ma szkoła ogólnokształcąca, skierowana raczej na wyrobienie ostrości myślenia, precyzyjności rozumowania i uogólniania.

Zainteresowanie społeczne, zamiłowanie pedagogiczne budzą się w 13 — 14 roku życia; niepodniocenne jednak odpowiednią atmosferą, przeciwnie, napo-

tykając zainteresowanie i zamiłowanie antagonistyczne, — grożą wygaśnięciem.

Matura gimnazjalna z rocznym kursem pedagogicznym może dać dobrego wykładowcę, sumiennego i rozumiejącego rzecz nadzorcę i badacza dziecka — nauczyciela-entuzjasty, wychowawcy, oddanego zupełnie sprawie kształtowania duszy dziecka, lub niżej od siebie społecznie stojącego człowieka—dać nie jest wstanie.

Na str. 51 w ustępie I projektu ustawy podkreśla się z radością, że „z każdym rokiem wzrasta liczba maturzystów szkół ogólnokształcących, zgłaszających się do zawodu nauczycielskiego“; lecz w sprawie dostarczania kontyngentu nauczycieli do szkoły powszechnej nietylko chodzi o ilość, co o jakość materiału. Niestety! dziś jeszcze $\frac{9}{10}$ maturzystów szkoły średniej, zgłaszających się do zawodu nauczycielskiego, to wykołajeńcy, którym środki materialne, brak zdolności, brak wyraźnych zamiłowań zamykają wrota do uniwersytetu, którzy zatem biorą posadę nauczyciela szkoły powszechnej faute de mieux, gotowi ją rzucić z chwilą, kiedy zaistnieją lepsze warunki kariery. Zdaje mi się również, że wszyscy, którzy z nauczycielstwem stykają się w praktyce, potwierdzą moje zdanie, iż wśród nich najprędzej opuszczają się, zaniedbując obowiązki swe względem społeczeństwa, względem młodzieży i względem siebie samych, jako ludzi kulturalnych—ci właśnie maturzyści szkoły średniej ogólnokształcącej.

Że nie wystarczy jeden rok kursu pedagogicznego na rozdmuchanie zamiłowań pedagogicznych, zagłuszonych w szkole średniej ogólnokształcącej, mam na to liczne dowody z osobistej praktyki. Będąc od szeregu lat dyrektorką seminarjum żeńskiego, co roku spotykam się z faktem masowego przyływu uczennic, które ukończyły 6 klas szkoły średniej, na IV kurs seminarjum. Kierują nimi, czy ich rodzicami, względy czysto utylitarne, chęć prędszego zdobycia kawałka chleba. Przez cały pierwszy rok pobytu w szkole dziewczęta te, prawie bez wyjątku, uważają się za zepchnięte na niższy szczebel drabiny społecznej, mało się interesują kwestjami pedagogicznymi, tak aktualnymi i tak fascynującymi dla dawnych seminarzystek. Dopiero po roku wracają do szkoły, jakby zupełnie odmienione, biorąc się z zapałem do pracy wychowawczej i dydaktycznej.

Podkreśliłam już uprzednio nastawienie wychowawcze Seminarjum, zaletę, którą mu przyznaje i projekt ustawy o ustroju szkolnictwa na str. 51 w ustępie 4. Postaram się obecnie twierdzenie to swoje uzasadnić.

(d. n.)



STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW

STANISŁAW PRZBYSZEWSKI

(Sylwetka pośmiertna)

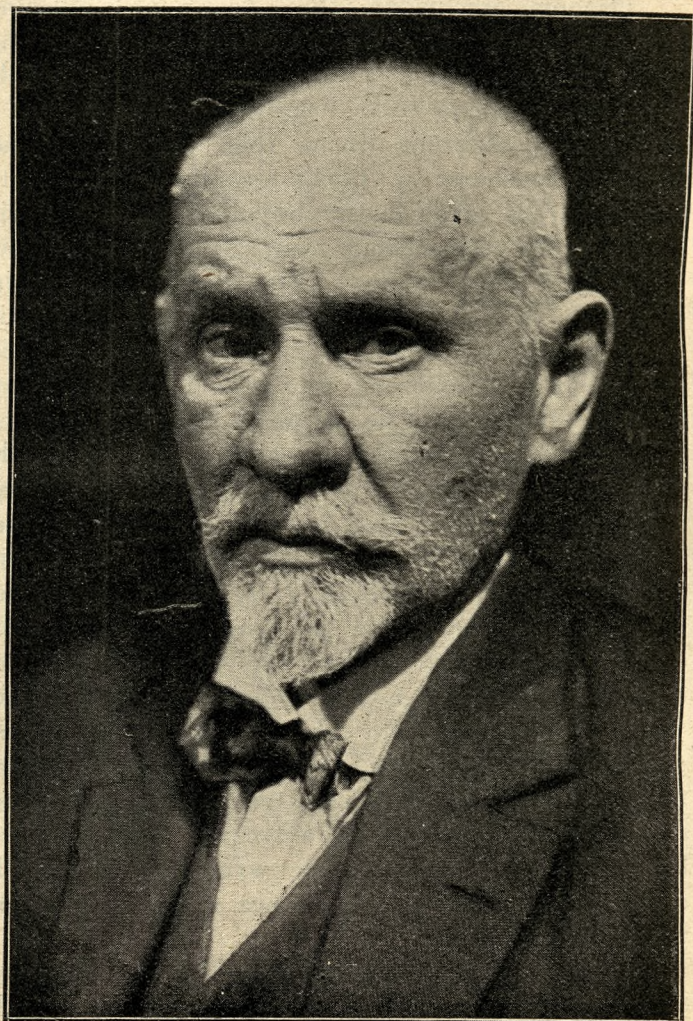
Minęły już dawno czasy, gdy słowa: „nadczołowiek“, „naga dusza“, „absolut“, stanowiły rodzaj rytualnego zaklęcia dla „wtajemniczonych“, a budziły instyktowną odrazę i lęk w tych, którzy uważali je za znamiona mającego nadejść Antychrysta.

Dzisiaj wszystkie te burze, błyskawice i pioruny, jakie Przybyszewski wniósł do literatury polskiej, oceniamy nie skalą napięcia elektryczności, jakie im towarzyszyło, nie pokłosiem zniszczonych pąków, kwiatów i liści, ale miarą ostatecznego rezultatu płonów, który miał zawsze wysoki poziom artystyczny i wartość samą w sobie, bez względu na przemijające prądy, upodobania i rewolucyjne hasła.

My, Polacy, obok niezliczonych i słusznie reklamowanych zalet umysłu, posiadamy jedną, ale zato kardynalną wadę: nie lubimy głębi. Polak, odznaczający się zazwyczaj nieustraszoną odwagą w polu, na radzie, w życiu prywatnym, — wobec głębi myślowej zachowuje się, jak „dólski“ człowiek nad przepaścią: dostaje zawrotu głowy i, zamiast iść na szczyty, wraca do domu. A gdy go pytają, jak to tam jest na wyżynach, wrzeszczy pogardliwie ramionami. I to wzruszenie ramion starczy jeszcze u nas w wielu sferach za ocenę faktu. Jest to przekreślenie zjawiska w danej świadomości: zamiast przyznać się, że się danej rzeczy nie rozumie, stwierdza się, że ona dla nas nie istnieje. Sprawa zamknięta.

Postępowanie takje możnaby nazwać polityką kuropatwy, która, widząc zbliżające się niebezpieczeństwo, chowa głowę w piasek, lub śnieg. Podobnie zachował się nasz ogół wobec nadpływającej burzy „absolutu“: schował głowę w piasek. Burza przeszła, porywając za sobą garstkę zapalcenców, przesunęła ponad głowami tych, którzy powinni ją byli przyjąć nie jak dopust boży, ale jako przedwiośnie, wyładowanie sił żywiołowych, zjawisko naturalne, konieczne, z pewnych względów przykre, z wielu innych — zbawienne.

Jak niegdyś romantyzm — z całą balladową rekwiizytornią upiórów, czarownic, rusałek i pustelników, — był reakcją przeciw szablonom pseudoklasycyzmu, tak i w zaraniu wieku XX-ego cały, tak zwany, „modernizm“, udrapowany płaszczem satanizmu, wywracający „nagą duszę“ podszewką na wierzch, lubujący się w dreszczach podświadomych, sięgający przez tajniki egzotycznych porywów aż do głębi absolutu, — był niczem innym, jak samozachowawczym odruchem instynktu twórczego, strząsającego z siebie



Stanisław Przybyszewski

strupieszalą łuskę nawarstwionych latami nawyków literackich.

Beletrystyka pozytywistyczna ślizgała się po powierzchni zjawisk, nie kusząc się bynajmniej o wniknięcie w ich istotę. Jeżeli stawiała swym czytelnikom jakieś zagadnienie, było to najwyżej zagadnienie z dziedziny społecznej, lub psychologicznej. Przybyszewski pierwszy zrobił wyłom w tej uświęconej tradycji skorupie, intronizując w powieści i dramacie wiekiutą zagadkę bytu i początku wszechrzeczy.

I w tem tkwił najboleśniejszy punkt. Przybyszewski odważył się poruszyć „nietykalne tabu“: drzemający mózg swego pokolenia, zakrzepły w ustalonych raz na zawsze zwojach pracy organicznej. Podrażnił ten mózg silną dawką substancji podniecających. Kazał myśleć, wymagał operowania kate-

gorjami metafizycznymi. I to wywołało bunt, krucjatę świętoszków przeciw rzekomemu wyuzdaniu i erotyzmowi utworów modernistycznych.

Tymczasem w istocie chodziło o coś zupełnie innego. Pod sztandarem tradycji, obok wojującego w dobrej wierze fanatyzmu cnoty, rozsiadło się wygodnie nasze pocziwe lenistwo umysłowe. Ono krzychało najgłośniej, zachłystując się własną pasją, a ukradkiem połykając tanią francuską pornografię, lekkostrawną i ponętnie przyprawioną, a nie wymagającą od czytelnika studjów filozoficznych i karkołomnych myślowych „salto mortale”.

Cały stosunek społeczeństwa polskiego do twórczości Przybyszewskiego był przez długi stosunkowo przeciąg czasu jedną wielką pomyłką. Bo i ta plejada kornych czcicieli, która otaczała gwiazdę jego sławy migotliwym wieńcem satelitów, ubóstwiała najbardziej przemijające wartości jego twórczego dorobku: erotyzm i kult szatana, nie domyślając się nawet, że te dwa pojęcia są niejako formą wewnętrzną ideowego wyrazu i że pod ich osłoną, jak pod mięszem owocem, ukrywa się ziarno prainstynktu: odwieczna tęsknota człowieka do Boga.

Czemże jest t. zw. genjusz gatunku, jeśli nie żądzą unieśmiertelnienia się? Czemże był ów, przebrzmiały już dziś satanizm, jeśli nie pragnieniem znalezienia potęgi, której podporządkować się może umysł i wola człowieka „mądrego” — homo sapiens? Rozpatrywana pod tym kątem twórczość Przybyszewskiego ukaże nam naturę nawskroś religijną, wyrosłą na podłożu średniowiecznej ekstazy, zmysłową jednocześnie i ekstatyczną, z żarliwym fanatyzmem czyhającą na Boga tam, gdzie na rozstajnych drogach zmysłów i świadomości, w wichrze i mroku niewiedomego królują prainstynkty.

Jak niegdyś św. Krzysztof z legendy, szukając najsilniejszego pana, służył kolejno cesarzowi, diabłu i Bogu, — podobnie życie wewnętrzne Przybyszewskiego wstępuje z mudnie po szczeblach kultów aż tam, gdzie na szczycie Jakóbowej drabiny króluje Odwieczna Prawda i Niewyczerpana Miłość.

W nią zapatrzoną, kroczył nieustraszenie kamienistą ścieżką wieszcz i myśliciel, nie cofając się nigdy z półdrogi, nie bacząc, czy zawiedzie go ona

w przepaść, czy w gąszcz zawiłych problematów, czy na wyżyny ostatecznych rozstrzygnięć.

Błędy, które popełniał, były błędami człowieka wiecznego, skutego Prometeusza, targającego więzy Tajemnicy. Danem mu było w skrócie jednego żywota przewalczyć i przeboleć to wszystko, o co walczy, z czym się zmagają, na co umiera ludzkość cała od początku świata.

Płodną była ziemia kujawska w poetów wieczności. Przybyszewski i Kasprówiczy wyrosli z niej, jak dwa słupy graniczne, znaczące triumfalny zasięg wzlotów polskiego ducha. Kasprówiczy, bliżej związany z Macierzą, od początku dał czysto swojski wyraz jej żywiołowym tęsknotom. Dla Przybyszewskiego, którego w zaraniu twórczości twarda konieczność życiowa i układ warunków politycznych zmusiły do wypowiedzania się w języku obcym, — prądy mistyczne, nurtujące w literaturze niemieckiej i skandynawskiej, były tylko pchnięciem, skierowującym go od razu na właściwą drogę, zgodną z tkwiącymi w nim potencjalnie siłami.

Autor „Śniegu”, tego najlepiej zbudowanego dramatu w nowej literaturze polskiej, bez względu na to, w jakim pisał języku, czyje echa można było u niego odnaleźć, — głębią swej twórczości dawał zawsze rezonans polskiemu duchowi.

I nie była to owa tania polskość hołubca, krakowskiej sukmany i buńczucznego pobrzękiwania szabelką, ale niski, głęboki ton sił wulkanicznych, które drzemia w podłożu istoty duchowej każdego z nas, związanego tajemnymi węzłami ze Stwórcą i naturą.

Posłuszny tym podziemnym głosom, wierny nakazowi instynktu, Przybyszewski nakrótka przed śmiercią udał się w rodzinne strony kujawskie, gdzie sam kilka miesięcy temu wybrał dla siebie miejsce wiecznego spoczynku.

I tą ostatnią swoją ziemską wędrówką mimowolnie dał świadectwo prawdzie, której służył wierne wciagu całego swego żywota, czy to jako duch — wieczny rewolucjonista, czy jako uległy nakazom Kościoła chrześcijanin, — prawdzie, że „dusza nie potrzebuje ani zmysłów, ani mózgu, aby się objawić”.



I. K. I Ł Ł A K O W I C Z Ó W N A

BÓG SILNYCH

Nigdy z męką do mnie nie zszedł Bóg,
nigdy krzyż niosącej Bóg nie podał czary,
nigdy zabłąkanej w zmijowisku dróg
Chrystus nie ukazał się i ścieżki nie naznaczył.
I w niebezpieczeństwie, jak krzywy sierp oręza,
lucyferyczny tylko migał błysk, błysk głowy węża.

Zato w glori szczęścia, u radości moich zenitu,
płonął zawsze Bóg w Trójcyświatłany, jak sztandar u wieży szczytu,
jak potwierdzenie wieczności dla wszystkiego, co jest moje i mną,
a Hosanna stało się wdołę, jak głębokie, złociste dno.

RYTMICZNA CHWILA

Skrzydeł niosących ciszę racz rozwinąć wianie
i spętać rozpędzonych tabunów kopyta:
niechaj muzyka, która serca chwyta
w szerokie żagle, z szczęku rozpowita,
odnajdzie takt swój i w powietrzu stanie.

Rytmicznej chwili racz umocnić trwanie,
aby zdeptana rzecz i rzecz ukryta
od dnia, co bieży i pędu, co zgrzyta —
mogły wstać z prochu i razem w błękitach
z pieśnią wieczoru święcić zmartwychwstanie!

STAN ŁASKI

Jeśli w tej tęsknocie zostanę,
jeśli do końca w niej wytrwam,
uniosę się nad wiecznością,
jak nad jeziorem rybitwa.
Jeśli w tej miłości utonę,
jeśli w tej tęsknocie zgoreję,
gdy zbudzę się,
Bóg nademną, zamiast dnia, rozednieje.

W najbliższym czasie ukaze się nakładem pana Jakóba Morikowicza nowy
tom poezji pani Kazimierzy Iłakowiczówny, p. t. „Zwierciadło nocy”.



WSPOMNIENIA Z ROKU 1831 NA LITWIE

Major zaglądał często w zwierciadło i znajdował, że ma minę sentymentalną. Już się przechadzał po ogródku proboszcza, a na mocy przywilejów choroby i wojny myśmy odwiedzały rekonwalescenta, jak brata. On zaś asystował, chociaż nie biorąc w nich udziału, podwieczorkom u proboszcza, których główną podstawę—ogórki z miodem—wysmiewał nieubłagany pan poznańczyk. Siostry moje przyjeżdżały nieraz konno, a p. major, prezentując nam swoją klaczkę Strzałkę, wzdychał z żalu, że nie może jeszcze należeć do tych konnych spacerów. I gdy tak marzył, pewnego ranka zjawił się żandarm dla zabrania p. majora do Wilna. Dowiedział się był o nim Chrapowicki, a dowiedział się nie od kogo innego, jak od generała Dembińskiego, który niespokojny o pozostawionego majora, uwalniał na słowo wziętych w niewolę generałów rosyjskich na zamianę Jeżewskiego, którego nie mieli prawa więzić, nie ujawszy go na polu bitwy i z bronią w rękę. Że jednak przybywający żandarm Arendarenko, którego pułkownikowa Dederkowa nazywała raz Arendarzem, to znów Joselem lub Mowszą, znalazł p. majora w łóżku, z niczem wrócił do Wilna; ale, gdy powtórnie przyjechał, zupełnie już zdrow p. major musiał mu towarzyszyć, a w drodze tak przypadł do serca żandarmowi, że ten, używszy fortelu, zabrał majora na swoją kwaterę. Nie potrwało to jednak długo: płeć piękna, zawsze nieostrożna w swych poświęceniach, zaczęła zanadto się zajmować młodym majorem, odwiedzać go, nadsyłać przysmaki, odzienie i t. d., i pewnego ranka najniespodzianie wywieziono p. majora do Wiatki, skąd przez lat dwa pisywał listy do mego ojca, do proboszcza i do swej dobrodziejki, pani pułkownikowej, aż nareszcie generał Sumorokoff, który był jednym z uwolnionych przez Dembińskiego, wzięwszy do serca tę sprawę, otrzymał powrót Jeżewskiego do kraju. Ale to należy do wspomnień z 1833 roku.

Wilno było przepełnione wojskiem i więźniami. Pani Antonina Śniadecka stała się ich matką, sprzedając, co tylko miała z cienkiej bielizny i z drogości, by za te pieniądze zakupywać całe wyprawy dla pędzonych w głąb Rosji. Inne damy zasilały więzienia strawą, mając na czele panią Malewiczową, której bezinteresowna opieka nad więźniami przy żadnym funduszu wystarczała na tysiące, i dotąd wspomina

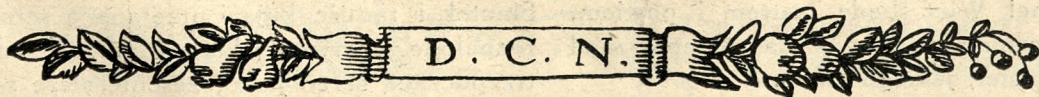
ją generał Szymanowski, którego wojsku na Żmudzi ona sama dowoziła żywność.

Wuj nasz, Konstanty Tyzenhauz, przesiedziało całe lato w fortecy dynaburskiej, pokutując za Rakiszki, które, będąc największym majątkiem w Wilkomierskiem, musiały swój podatek krajowi opłacić. Rządca wuja, zacny Horodecki, na którego głowę spadła wina, musiał uciekać zagranicę, a że miał obług mego ojca na 1000 dukatów, przysłał go ze swego ukrycia do Dobrowlan z listem bez podpisu i przez tegoż samego człowieka otrzymał swoją należność. Horodecki dostał się szczęśliwie do Szwajcarii, tam osiadł i — jak doszło do nas w lat 24 — zawsze błogosławił mego ojca za jego akuratność i sumiennność, które i sobie był poczęści winien, bo, zawierzywszy w podpis mego ojca, nie wymagał formalnego obługu i przez to samo mógł uzyskać swoją należność bez wiedzy rządu. Niepokój o męża wywołał ciocię Tyzenhauzową z ram zwyczajnego życia: jeździła sama do Wilna, do Dynaburga i w tym ruchu i niepokoju ani razu nie cierpiała na głowę. Wuj przed zimą został wyswobodzonym.

Jesień zbliżała się z opadkiem liści, z chłodnymi rankami, i nadzieje zaczynały stygnąć i opadać. Nareszcie spadła, jak piorun, wiadomość, że Warszawa się poddała!

Od tej chwili daremnie już usiłowano kłamliwymi wieściami cieszyć i durzyć: — na dnie serca było zwątpienie i rozczarowanie; czuliśmy, że już po wszystkim, że fajerwerk zgasł! W każdym powiecie i po miasteczkach były wojska rosyjskie, w Święcianach stał książę Chiłkow, a obywateli powołano do Wilna dla tłumaczenia się, i nagle zrobiło się ciemno, zimno i smutno! Jednak wolno było wracać do domu tym nawet, co byli w polskim obozie.

Powoli, powoli, w miarę jak porządek wracał do kraju, dochodziły nas wieści o znajomych. Babunia Ignacowa Tyzenhauzowa nie ruszyła się z Warszawy; pod strychem jej domu chronił się był przez dni kilka Skrzynecki. Kuzyn mojej matki, Michał Radziwiłł, krótko cieszył się dyktatorstwem. Inny kuzyn, generał Pac, raniony pod Ostrołęką, z kulą w ramieniu dostał się do Warszawy; gdy go tam operowano, babunia, zawsze pełna serdecznych pomysłów, ową kulę, oprawioną w złoto, z wrytą na niej datą, posłała na pamiątkę jedynaczce Generała, Ludwini.



PROFESOR

— Urlop?! co się stało?

— Profesor powiedział, że mam przemęczony wzrok, zepsułam parę ostatnich rysunków, dla tej przyczyny.

Przysunął się do niej i wziął wyciągniętą rękę. Poraz pierwszy spojrzał na nią bez uśmiechu w oczach, tak poważnie, jak na owego nilowego wypławka, w dniu powrotu z Afryki. Ucisnął jej rękę długo, serdecznie i powiedział spokojnie, prosto:

— Będzie smutno bez pani! Przywykłem.

Miłe ciepło otuliło oczy pod powiekami.

— Tylko dwa dni. Muszę rzeczywiście odpocząć: nieprzyzwyczajona jestem do takiej pracy.

— Doskonale. Czy pozwoli się pani odwiedzić jutro?

— Proszę! adres u Mikołaja.

Wyrwała mu prawie rękę z uścisku i wybiegła. Wyniosło ją, właściwie, na ulicę. Jakoweś pragnienie lotu ogarnęło ręce i nogi, stąpała tak lekko, lekko... Przelewała się przez piersi rozkoszna fala gorąca. Kapała się w przezręczym eterze rzeźkości świeżej i mocnej. Coś pachniało przedziwnie dokoła, i świat różowił w świetle zachodzącego, miedzianego słońca!

VIII.

— Jestem! — wołał na progu jej pokoju. — Jakże tam wypoczynek? Co pani robiła bez nas? Stary przyszedł do mnie i poskarżył się, że w pracowni jest zimno i pusto bez pani. Kiedyś taksamo pusto i zimno mu się zrobiło, gdy wyniesiono szafę z memi zbiorami do przeznaczonego dla mnie gabinetu...

— Proszę nie ironizować! wolę myśleć, że to przez sentyment dla mnie...

— Z pewnością, proszę pani. Dla szafy miał także sentyment: kryła ułamek nieznaczny jego wiedzy.

— O mnie jednak nie można tak powiedzieć...

— O tak, to inna kategoria zjawisk! przede wszystkim — ręce i... wszystko świeże piękno, któremu na imię Jadwiga.

— Znowu pan zaczyna? Proszę mówić o czemś innym.

— O czemś innym? kiedy to właśnie najciekawsze. Czy pani nie widziała lustra?

— Jakże to? przecież nieraz przeglądam się w lustrze.

— I?...

— I nic.

— To pyszne! Więc będę lustrem i powiem, że jest pani najśliczniejsza dziewczyna, przepraszam! najśliczniejszy magister, jakiego znam,

— Proszę przestać, bo wyjdę i zostawię pana samego!

— Nie myślę się nudzić: pójdę z panią! Zresztą, proponuję „wyjście” kompromisowe: wieczór jest prześliczny, proszę się ubrać, pójdziemy na spacer.

— Dobrze! za chwilę będę gotowa.

Szli razem ulicami nad rzeką w milczeniu obok siebie. Przed nimi płynęły dwa cienie, zlewające się razem, tulące ciasno do siebie.

— Proszę opowiedzieć o swej ostatniej podróży, — poprosiła, — coś najciekawszego.

— Dobrze — odrzekł — i poważnie zaczął:

— Najciekawszy był powrót; to zdarzenie zna pani dobrze; najciekawsze z całej podróży było poznanie pani, panno Jadwigo! Błogosławię tę chwilę powrotu dla tej prostej przyczyny, że kocham panią, kocham cię, Jadziu!

Chwytał jej rękę, zanim zdążyła się opamiętać, i przycisnął ją do ust. Była zaskoczona.

— Jakto? — powtarzała nierozumnie — kiedy... co... jak... nie rozumiem, ja... ja...

— Ja, ja kocham ciebie! — wyrzucił z siłą i potężnie wgarnął ją całą ku sobie, zamykając jej usta mocnym pocałunkiem.

Traciła przytomność; ziemia zawirowała szaleniem, wysuwała się z pod mdlejących nóg. Ogarnęła jego ramiona słabiejacemi rękami i oddała pocałunek. Potem świat rozpekł się z hałasem i dzwonami, zapadła w próżnię do dna, tonęła na ustach, krzyczących — „pragnę!”...

IX.

O świcie Jeżowicz wracał do domu, pijany upojeniem nocy i świeżością poranku. Rozszalałe, skłębione myśli grupował w zwarte szeregi, jak zdania rozprawy naukowej, a przecież było w tem więcej tkliwości, niż logiki. — Są radości ciche, — marzył, — jak wiosenny wiew, jak szelest motyli skrzydeł, jak ostatni, zamierający dźwięk rozbitej harfy. Są radości pełnobrzmiące, niby poranny śpiew ptasiej gromady, niby dzwonenie srebrnych dzwonek, niby śmiech czystej dziewczyny. Jest wreszcie radosny szal, co oślepia, co ludzi zamienia w bogów, wróble — w orłowy, szczęście człowiecze wzdyka burzliwą pianą nieskończonego rosnącej fali tętniącej krwi. Są inne radości — jest ich wiele! tyle, ile smutku na ziemi, bowiem każda łza tęsknoty człowieczej roztopić się musi w uśmiechu, iżby świat nie zatonął w bolesnej powadze, Smutek i radość kuja i przetapiają serce człowiecze, rozpalone, czerwone, krwawe serce: takie bezradne, trzepoczące serce Jadzi, zeschłe, stare serce profesor-

skie, i moje, zdrowe, silne serce mężczyzny. Są chwile niezapomniane smutku i radości: towarzyszą nam w życiowej wędrówce od szlaku do szlaku, od przełęczy do przełęczy; tworzą w nas moc wytrwania, są potem naszych skroni i promiennym blaskiem naszych oczu. Oto jestem teraz najszczęśliwszym z ludzi, a nie umiałbym tego powiedzieć ani Jadzi, ani staruszkowi; bo w smutku i radości jesteśmy samotnikami: nikt z nami tem bogactwem podzielić się nie zdoła, a i my się niem podzielić nie zdołamy. One tworzą jedyną rzeczywistą prawdę w człowieku, są najistotniejszą wartością i własnością niezapomnianą. Zaiste, jeśli jest prawo wieczne przyrodzenia, nie przez tablice miedziane prawników tworzone, to owo jedyne prawo własności bólu i radości naszych!

Oto trzymałem w dłoniach rękę kobiety ukochanej, jedynej; małą, suchą dłoń w skórkowej rękawiczce. Dotykałem jeno skóry obcej i gładkiej, skóry zabitego kozłęcia, w którą obciągnięto ukochaną dłoń—i urosła przez dotknięcie słodczy nieskończona. Nabrzmiwa, płynie cicho, tajemniczo ku ściśniętej w spazmie tchawicy, i wszystko wznosi modlitwę dziękczynną radości,—trzymałem przecież tylko rękę ukochanej kobiety, małą dłoń w skórkowej rękawiczce. Staję przed wielkimi, złotymi wrotami radości niepodzielnej, własnej, wyrosłej i zakwitłej we mnie słodyczą owocu, którego smak i aromat tylko Ja będę znał, nikt więcej, tylko Ja. Albo owa chwila spotkania, chwila przedziwna osobliwego milczenia, w czarodziejskiej minucie boskiej niewiary w sen, który ożywił się nagle i stanął przedemną w świetle dnia. Czy da się porównać z bogactwem tej chwili bogactwo stosów, płynących rulonów złota, które może zabrać przypadek, złodziej, czy wróg?

Zapomniałem o tych oczach, o tych zdrajcach wstydliwych, kąpiących się w soli dławiących je łez; zapomniałem o ich chytrej grze, o ucieczkach i kradzionych spojrzeniach, o minutach zapomnienia, radosnych zawstydzeniach, do których nie chcą się przyznać.

A ciche słowa, nieznaczące, puste, wygarniające ćwierkotem natrętnym radosną ciszę zakłopotania „sobą“, są przecież zagadkami, kryjącymi radość, o której nic nie mówią, której się wstydzą bezczelnie.

Całość, gdyby trwała dłużej, spalałaby nas, zostawiając stygnące popioły; ale mam prócz tego coś jeszcze wielkiego i silnego, co mi daje oparcie i moc:—Pracę.

W tej chwili ocknął się z zamyślenia: stał właśnie przed drzwiami pracowni, w której krzątał się Mikołaj.

— Pan doktor tak rano?

— Tak, mój stary: mamy huk roboty, po samą szyję! trzeba się śpieszyć, śpieszyć staruszkul! — i chwyciwszy Mikołaja za ręce, wywijał starym po całym pokoju.

X.

Po dniach rozslonecznionych powlókł się korowód słót prawie jesiennych. Świat był mokry i ogromnie smutny. Świeża zielen, splakana i zmięta, obwisała boleśnie z gałęzi ledwie okwitłych drzew. Wielkie spęczniałe krople pełzały po szybach, niby nieskończenie długie i wiotkie gąsienice, mażące perspektywę dni rozmiękłych, rozwlekłych i szarych. Nie zmąciło to radości i pogody Jadwidze. Zamknęła się w świetlistym kręgu marzeń i odwiecień owej miękkiej, słodkiej nocy, pierwszego pocałowania ust ukochanego człowieka.

— Więc kocham i jestem kochana! — powtarzała sobie wielokrotnie po przebudzeniu, przy myciu i jedzeniu, po drodze do uniwersytetu. — Jakże to się stało? — Usiłowała powiązać wszystko w jakiś logiczny splot przyczyn i skutków, ale wysiłki były daremne. Ot, stało się, i tyle, poco zaprztać głowę tem wszystkim? — Kocham, to jedyne ważne, najważniejsze!

Świadomość ta wytłoczyła powoli wszystko inne poza swój jasny obręb. Była niby koło skoncentrowanego przez soczewkę światła, w które wpisano postać Jeźowicza w tysiącznych odmianach, wygięciach, odbiciach.

Był przecież ogromnie plastyczny, wielokrotny. Mężczyzna — uczony. Oczy, usta, uśmiech — nade wszystko usta! — Dlaczego kocham, dlaczego? — Pytała uparcie i wiedziała, że odpowiedzi żadną miarą nie znajdzie na to głupie, natrętne pytanie, a jednak potysiącokroć wciągu doby wracała do niego. Labirynt. Rozkoszne było błądzenie po nim, gubienie samej siebie... rozkoszne było przebudzenie, odnajdywanie ust za każdym załomem! Po długiej wędrówce niezmordowana wracała do punktu wyjścia poto, by znowu powtórzyć to samo.

Rysunki, glistnice, — odrazu zostały wyparte poza świetlisty okrąg prawdziwych myśli, myśli o nim, o wszystkim, co było jego, z nim i przy nim. Był niewyczerpany jakąś ogromną masą treści, na którą spoglądała z zawrotem głowy. Który jest najważniejszy? Czy ten zamknięty, skupiony, szybko obracający w pincetach robaki? czy ten o śmiejących się oczach mężczyzna w tropikalnym hełmie z dalekiej, rozpalonej Afryki? — Każdemu wcieleniu ustawiała ołtarze, każdemu ofiarowała się oddzielnie, a wszystkim oddawała się cała.



W. MIŁASZEWSKA

23

KACZĘTA

(powieść)

Już nietylko Adelcia, ale nawet i Teofil mówi:
— Justynka marnie jakoś wygląda. Niech Justynka więcej zwraca na siebie uwagi, bo zachoruje i nowa bieda będzie.

Ano, prawda. Nie daj Boże, abym jeszcze swoją osobą kłopotu przysporzyć miała komu! I tak ich dość dokoła. Powiedziałam więc sobie dziś rano Stasiowemi słowami: „Trzeba się w kupę wziąć!” — Postanowiłam smutnych wspomnień unikać, ale cóż! ledwo się z jakim frasunkiem uporam, — przychodzi drugi, i tak wciąż.

Teraz — nową mam troskę, i to nie bylejaką. Aż mi się trudno z tem oswoić.

Było tak:

Poszłam po obiedzie na miasto, książkę dla Adelci odmienić, bo trochę zakatarzona w domu siedzi i narzeka, że jej się nudzi. Zachodzę do czytelnicy: — tłok, że niech ręka Boska broni! Kilka panienek, co tę czytelnię obsługują, skacze po drabinach jak wiewiórki, i tylko z wysoka pokrzykuje:

— Niemal w czytaniu! w czytaniu!

Stanęłam sobie zboku, że może to tylko tak chwilowo: przyszli i wyjdą, a ja ten drugi tom powieści dla Adelki jakoś zdobędę. Aż nagle patrzę — tuż, tuż przedemną jakaś znajoma twarz. Przyglądam się uważnie... przyglądam — nikt inny, tylko ta Łuczakowa. Janinki matka.

Że ją nie odrazu poznałam, to nic dziwnego. Ależ się kobiecisko zmieniło! Zgarbiona, żółkła na twarzy, nogami prawie powłóczy... Chorowała biedaczka, czy co? Więc się do niej przepycham i wprost za ramię ciągnę:

— Dzień dobry pani! Góra z górą się nie spotka, a człowiek z człowiekiem zawsze...

Przywitała się ze mną i zaraz chciała umknąć, ale ją zatrzymałam, bo mi przyszło na myśl, żeby się przy okazji o Janinkę wypytać i wymiarkować, jak tam sercowe sprawy Tomka stoja.

Więc pytam prosto z mostu:

— Co też słyhać u pani? A córeczka, czy zdrowa? Dopiero ta jak się nie zachnie!

— Gdzie tam ona zdrowa! Od wczesnej wiosny choruje wciąż...

— Ooo... — mówię — to dopiero bieda! A cóż takiego? Pewnie „hiszpanka”?

(Bo to właśnie nową chorobę niedawno wymyślili i tak ją pięknie nazwali doktorzy. W gazetach nawet pisują, ile osób wciąż tygodnia na hiszpankę zapada, umiera i do zdrowia powraca!)

Pani Łuczakowa spojrzała na mnie takim jakimś bolesnym wzrokiem, że aż zadrżałam.

— Czy aby ona nie dowiedziała się — myślę sobie — kto ja jestem? Bo może ta Janinka wypalała o Tomku, a matka, choć niesłusznie, do mnie ma w sercu urazę...

Ale jak brnąć, to brnąć. Pytam więc dalej:

— Pewnie nowe jakie zmartwienie ma pani z córką?

— Zmartwienie? — Powtórzyła, jakby nie rozumiejąc — a mam zmartwienie, mam... Jeszcze się widać Panu Bogu spodobało większe nieszczęścia na moją głowę zesłać, niż te, co już przeżyłam...

I tak, bez żadnego przejścia, odrazu:

— A temu, co Janince tyle krzywdy uczynił, to niech Bóg nie pamięta, bo ja już na niego słów nie mam, jaki on jest...

Teraz się podemną nogi ugięły. Że o kim ona mówi? O Tomku, czy też o tamtym, pierwszym?

Pytam więc znów ostrożnie:

— O tym pani wspomina, co to się żenić obiecywał?

— Obiecywał... A właśnie, obiecywał! Tyle naobiecywał, że aż Janinka mało dwa razy z życiem się nie rozstała tej zimy...

Widzę, że kobietę łyzy dławią i zaraz płaczem wybuchnie. Więc ją pociągnęła trochę nabok ku oknu, gdzie było jakoś puścicy. Posadziłam na ławeczce:

— Niechże mi pani powie, co się stało? Bo mi ogromnie córki pani żal...

— Stało się, że ją rzucił ten hycel. A rzucił, jak już w szóstym miesiącu chodziła... Poprostu poszedł sobie i więcej już się u niej nie pokazał... To ona wtedy za jodynę i truła się...

Boże miłosierny! Nie wiedziałam, czy śnię, czy naprawdę słyszę to wszystko memi własnymi uszami! A pani Łuczakowa, która jest skora do zwierzeń, jak się rozczuli nad swą biedą, bo mi już przedtem tyle naopowiadała o córce — ciągnęła teraz dalej sama bez zachęty:

— ... Ledwie ją tam wyratowali, w szpitalu... Potem już ją do domu zabrałam, nie sprzeciwiała się... I zaraz domyśliłam się wszystkiego... Bo nawet już i znać było po niej... Próbowałam wybadać, kto to taki... Bo zawsze lepiej wiedzieć... Ale Janinka za nic... Już ona taka jest harda od małości!

— „Poco to mamie wiedzieć — mówi — jak się nazywa? Poszedł sobie i już... Mama go szukać nie będzie, bo zresztą jabym mamie nie dała. Sama so-

bie winna jestem, żem głupia, że mu wierzyłam... A najgorsze to to, że ja go naprawdę kochałam..."

— I aż głową o ścianę tłukła, proszę pani, wszystko z rozpacz po nim...

— „Już niechby się był nie żenił—mówiła mi— Czy ja go do ołtarza ciągnęłam?... Sam obiecywał... Jeszcze pierwej, zanim co było między nami... Mówił tylko, że mu teraz warunki nie pozwalają, że zamłody, że musi pierwej do pełnoletności dojść i stanowisko sobie wyrobić...”

Umilkła Łuczakowa i głową pokiwała żałośnie.

A ja milczałam także. Bo i co miałam mówić? Razem z nią biadać? Na tego hycła wygadywać? A przecież ten hycel, to mój Tomek... Ot, doczekałam się... Było co słyszeć, było! Łuczakowa już nic swojej Janince nie przygania, a tylko wszystko na Tomka zwała. A mnie się w głowie całkiem zmaciło od tego opowiadania; myślałam, że już końca nie będzie.

— Wie pani—ciągnęła znów po jakimś czasie— że ona nigdy jego imienia nie wymówi. Nigdy! W połogu była, od zmysłów odchodziła z bólu, potem w gorączce leżała ze dwa tygodnie, ale o tamtym, ani słowa. Tak się zacięła... Więc jak się ten synek urodził...

— Synek?

— A jakże. Śliczny chłopaczek, mówię pani. Od pierwszej chwili wyglądał, niby jaka lalczka... Nic a nic nie był czerwony, jak to małe dzieci zwyczajnie... I włoski miał odrazu gęste, ciemne, a buźkę, jak jaki aniołek... I dziwnie ciche dziecko... Więc jak się ten synek urodził, pomyślałam sobie: może teraz Janinka ojca wspomni... Spytałam ją umyślnie od niechcenia, jakby go ochrzcił?

A ona w sufit patrzy i wreszcie pyta:

— Którego dzisiaj mamy?

— Szóstego marca.

— To niech mama zobaczy w kalendarzu, jaki święty na dziś wypada.

Było napisane: Kolety. Więc powiadam Janince:

— Pogańskie jakieś imię. Nie wiem nawet, czy kobiece, czy męskie.

— To niech mama w następnym dniu przeczyta.

Przeczytałam: Tomasza. — Odwróciła głowę do ściany, pomyślała chwilę, a potem:

— Może od pierwszego zobaczyć? Coś się przecież wynajdzie...

Zacząłam od początku miesiąca:

— Albina... Heleny... Kunegundy... Kazimierza...

Skinęła ręką, że niechaj będzie Kazimierz... I tak się nic nie dowiedziałam, nawet wtedy... Teraz już Kazio ochrzczony i ciągle, chwalić Boga, zdrów... A ona jeszcze leży... Właśnie tu po nową książkę

zaszłam, bo Janinka wciąż czyta, a czyta... Już pani chyba mówiłam, że ona wykształcenie ma... A jakże! Był czas, że się matki trochę wstydziła przed ludźmi, z racji tego mojego prasowania. Teraz się już nie wstydzi...

Ucichła wreszcie i ręką spracowaną po tych swoich wyblakłych oczach przetarła. Zapytałam ją jeszcze, czy zawsze w tym samym domu mieszka?

— A jakżeby? Teraz nikt się z miejsca nie rusza, chyba że go sądownie wyrzuca. Gdzie kto siedział, tam siedzi...

Pożegnałam Łuczakową i poszłam. O książce dla Adelki zapomniałam na śmierć. W głowie mi wprost huczało, jak we młynie. Więc to tak, Tomku, to tak?

Dzisiaj go nie widziałam i jutro pewnie także na obiad nie przyjdzie, bo znów do Łodzi miał jechać. To i dobrze. Wolałabym go teraz nie widzieć, bo sama nie wiem, jakbym na niego spojrzała.

6 kwietnia

Całą noc oka nie zmrzyłam, myślałam ciągle o Tomaszu i o tym malutkim, o Kaziu.

Ale o malutkim daleko więcej. To mię straszliwa litość brała nad biedactwem, które nazwiska ojcowskiego nosić nie będzie, to znowu rady sobie dać nie mogłam z ciekawości, jaki on jest: czy rzeczywiście taki ładny, czy do Tomka podobny, czy może do tej Janinki? I ona przecież niczego dziewczyna. Bardzo nawet przystojna. Oho, jeszcze zeszłej wiosny, pamiętam, przycinała Adelcia Tomkowi, że sobie „szykowną pannicę” skądś wytrzasnął i po cukierniach się z nią afiszuje.

Tomasz jej wtedy odburknął, jak to on umie:

— Nie ty mi będziesz kazania prawić. Lepsza taka „pannica” od niejednej, co to rączki w małdryk i buzia w ciup, a do kina z facetami chodzi i po dwa seanse w ciemnościach przesiaduje!

Myślałam że go wtedy Adelka pobije, bo aż z pięściami przyskoczyła:

— Tak? Taak? To ty mi teraz będziesz ubliżał, że do kina z przyjaciółką i jej bratem poszłam we środę? Papcio mi sam dał na bilet! Wiesz teraz?

— Brata nie zauważyłem, a ta przyjaciółka miała niczego wąsiki! — śmiał się Tomasz. — Jeżeli ojciec o tem wiedział, tu mi włosy wyrosną!

I postukał się palcem po dłoni.

Adelka umilkła na chwilę, a później powiedziała złośliwym tonem:

— Uważaj lepiej, braciszku, żeby się ojciec nie połapał, dla kogo ty kupujesz jedwabne damskie pończochy! Bo pewnie nie dla swego pryncypała, he?

(c. d. n.)



JANUSZ HERLAINE

ZOFJA CASANOVA-LUTOSŁAWSKA CZŁONKIEM POLSKIEGO KLUBU LITERACKIEGO

W dniu 27 listopada, z powodu przystąpienia do P. E. N. Klubu p. Zofji Casanova-Lutosławskiej, odbył się w salonach Resursy Kupieckiej uroczysty bankiet na cześć znakomitej poetki hiszpańskiej i patrijotki polskiej. Przy stole biesiadnym, do którego zasiadł Zarząd Klubu i grono osób zaproszonych, wygłosili przemówienia: p. Stefan Krzywoszewski (po polsku), pani Paulucci (po włosku i po francusku), p. Janusz Herlaine (po hiszpańsku i po polsku). Po uczcie zebrani tłumnie na czarną kawę członkowie Klubu otoczyli zwartem i serdecznem kołem zasłużoną poetkę hiszpańską, i jak to sama o sobie powiedziała: „babkę polaków” w jednej osobie.

Podajemy poniżej w całości przemówienie p. Janusza Herlaine'a, jako doskonałą i związłą sylwetkę duchową Zofji Casanova-Lutosławskiej.

„Prosiłem przed chwilą Panią Zofję Casanova w jej rodzinnym języku — co mi Szanowni Państwo chyba tem łatwiej wybaczą, że się powtórzę — aby mi wolno było chociaż w prozie przyłączyć się do zbiorowego hołdu, jaki poeci hiszpańscy złożyli poetce z okazji ukazania się jej tomu poezji „El Canconero de la dicha”. Sfinksem nazywa poetkę poeta De Silva — sfinksem o skrzydłach chimerycznych, które ją unoszą w świat oczarowania. Dziwny to jednak sfinks: jakby cały z łez ulany, na podobieństwo stalaktytów; znieruchomiały dla zwiększenia duchowych sił; skamieniały dla odporności, dla uchronienia od zagłady serca, które w nim bić nie przestaje i jest muzą poetki, władcą i arbitrem, jak się sama wyraża, — i to jest sfinksa tego tajemnicą. A na ustach ma uśmiech prawdziwej ironji, która drwi.. drwi, lecz przebacza.

Taką jest Zofja Casanova, poetka, którą mamy zaszczyt dzisiaj podejmować.

Lecz Zofja Casanova poza tem, że jest poetką autorką ośmnastu tomów wybranych dzieł, z których w każdym,—z wyjątkiem jednego, czysto hiszpańskiego, tomu nowel—mowa jest wszędzie o Polsce,—bierze czynny udział w społecznym i politycznym życiu Hiszpanji. Należy do licznych stowarzyszeń, jest członkiem hiszpańskiej Akademji „de la Academia galliega”, udekorowana wielkim krzyżem „De beneficencia” za działalność na polu humanitarnem i orderem „Alfonsa XII” za działalność literacką. A jak dalece liczą się wszyscy z jej głosem w Hiszpanji — jaki mir zdołało sobie zyskać jej niestrudzone serce, jej entuzjazm dla Hiszpanji i Polski—może posłużyć fakt,



Zofja-Casanova Lutosławska

że kiedy na skutek jej odczytu o Arcybiskupie Cieplaku, ułożono w Madrycie adres do rządu bolszewickiego, w którym domagano się, tytułem wzajemności za pomoc, jaką Hiszpanja niosła głodnym dzieciom w Rosji, uwolnienia katolickiego duszpasterza — do adresu przyłączyło się 15.000 sefardim-żydów z Marokka.

To już można poczytać za triumf, jednak Zofja Casanova zachowując swój sfinkсовy uśmiech, który wybacza, nawet triumfem się nie szczyci.

Nie zapomnę też nigdy tych eksklamacyj zachwytu dla jej sztuki pisarskiej i tego wzruszenia, jakie wywołały wśród jej rodaków w Hiszpanji, w czasie mego pobytu w Madrycie, jej korespondencje z Polski, drukowane w „A. B. C.” Madryckiem. I jeśli Hiszpanja — jeśli pięćdziesięciotysięczna ludność hiszpań

ska Europy, Afryk i Ameryki wie o Polsce, to dlatego, że jej o niej mówi pełna uwielbienia dla ducha polskiego Zofja Casanova w „ABC“, w „La Nacion“ i w „El Diario de la Marina (pisma południowej Ameryki).

Tego informowania o nas nie zaprzestała Zofja Casanova i po wojnie. Oto jedna z ostatnich wiadomości:

„Echa polskie zagranicą“:

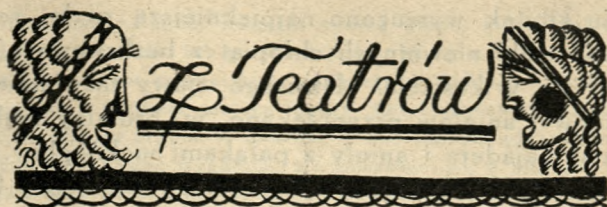
„Prasę hiszpańską obiegły depesze, zamienione pomiędzy przedstawicielami władz, a posłem polskim w Madrycie z okazji podróży, odbytej świeżo przez znakomitą pisarkę Zofję Casanova-Lutosławską po rodzinnym kraju. Z telegramów tych widać, że pani Casanova manifestacje powitalne, zwrócone do niej, kierowała ku Polsce, jako jej umiłowanej drugiej ojczyźnie, czyniąc w ten sposób szeroką propagandę na rzecz Polski. Podróż ta odbiła się również echem w prasie Ameryki południowej, gdzie z radością powitają rzesze emigrantów Polaków. Oto niektóre depesze:„

„Santiago de Compostela. Rektor uniwersytetu do posła polskiego w Madrycie: Zofja Casanova wygłosiła świetną prelekcję w auli uniwersyteckiej. Olbrzymie tłumy publiczności witały ją owacyjnie. Rozbrzmiewały okrzyki: „niech żyje niepodległa Polska“! O wysokim duchu patriotycznym i cierpieniach wiekowych Polski głosiła znakomita pisarka. Miło mi przesłać na ręce pana posła wyrazy żywej sympatii naszego miasta dla wielkiego narodu, któremu pomysłności życzymy przy długotrwałym pokoju“.

Blanko Rivero.

„Coruna. Prezydent miasta do posła polskiego w Madrycie: Z okazji opuszczenia przez naszą znakomitą pisarkę Zofję Casanova ziemi galicyjskiej, na której doznała entuzjastycznego przyjęcia i najgorętszych demonstracji, miło mi wyrazić panu posłowi wielką satysfakcję, jaką nam sprawiło słyszane z jej ust, dane publicznie świadectwo żarliwej miłości do Polski, jej drugiej ojczyzny, która—szczęśliwa i niepodległa—po wiekowej walce rozpoczyna erę kwitnącej odnowy, budzącej największe nadzieje. Wyrazy głębokiej sympatii dla wielkiego narodu i szacunku dla pana, panie posle“.

Sądzę, że będę wyrazicielem wszystkich Państwa, jeżeli wzniosę na cześć wielkiej patriotki polskiej, Zofji Casanova-Lutosławskiej, kielich serdecznego i szczerego dziękczynienia, w którym, jeśli nam tylko wybaczyć zechce, — niech utonie ten wyrzut sumienia, jaki każdy z nas uczuwa, że dopiero po tylu latach niestrudzonego propagowania polskiego ducha, znalazła ten skromny oddźwięk wdzięczności, jaki wywoła trącenie się naszych szkieł.



TEATR NARODOWY

„Dziady“ Adama Mickiewicza. Reżyserja Aleksandra Zelwerowicza. Dekoracje Wincentego Drabika. Muzyka Adama Dołżyckiego.

Umarli nie mogą się bronić. Nie mogą zaprotestować, kiedy z ich dzieła o najwyższym napięciu patosu dramatycznego robi się groteskę, a z Arki Przywierza „między dawnymi i nowymi laty,“ jaką, według słów wieszczą, ma być poezja, lamus szczęśliwych i nieszczęśliwych pomysłów reżyserskich, stylowych rupieci i tandetnych efektów teatralnych, poprzekładanych dla różnorodności snopami tęczyowych reflektorów, które oslepiają artystów, a widzów brutalnie wyrwywają ze świata poetyckich złudzeń.

Względem arcydzieł naszej poezji obowiązują dwie rzeczy: zgodność z oryginałem i poważna wobec niego postawa. „Dziady“ mogą zagrać czysto studenci i pensjonarki w dekoracjach z prześcieradeł, i to będzie święto narodowe, a mogą sfałszować jego ton pierwszorzędni artyści na pierwszej stołecznej scenie, wspomagani przez pierwszorzędnego dekoratora i muzyka, i to będzie comoedia dell'arte, w której, według modnego obecnie scenarjusza, reżyser zabija poeetę.

Na przedstawieniu „Dziadów“ w rocznicę powstania listopadowego byliśmy świadkami nie morderstwa wprawdzie, ale potwornego okaleczenia natchnień w których każde słowo jest nienaruszalną częścią skarbcza narodowego. Zdumiony widz stawał wobec całego szeregu zagadnień, na które trudno, zaiste, znaleźć odpowiedź, jeżeli teatr mamy traktować, jako szkołę kultury artystycznej dla szerokich mas. Dlaczego guślarz podczas obchodu w kaplicy cały czas tonął w krwawym świetle, jak kat, lub potępieniec? Dlaczego z opowiadań wywoływanych duchów wyeliminowano całą ich stronę dramatyczną i epicką, pozostawiając jedynie liryzm i sens moralny, zamarkowany końcowymi echemi chóru? Dlaczego Węgrzyn z Gustawa u księdza zrobił jarmarcznego obłąkańca, obwieszzonego różańcami i medalikami, jak stragan na odpuszcie, a miotającego się po scenie w tempie „tańca szkieletów“? Dlaczego w celi Konrada kazano więźniom naprzód chodzić wokółko parami, jakby to był obowiązkowy spacer po dziedzińcu klasztornym, a potem dopiero pozwolono im przyjść do słowa? Przecież to nie szkoła rytmiki, ale „Dziady!“ Dlaczego z opowieści Sobolewskiego o wywo-



zeniu kibitek wyrzucono najpiękniejszą perłę: zestawienie męki niewinnych chłopiat z bezkrwawą ofiarą Mszy św. w kościele? Dlaczego zjawy zaświatowych djabłów i aniołów przyoblekano w brutalny realizm (szatan-bajadera i anioły z pałakami naokół głów, zamiast aureoli), sprzeczny z intencjami wieszczą? Dlaczego, dokonywując samowolnych skrótów i poprawek, rozwlekano jednocześnie poszczególne tyrady, czego rezultatem było zabójcze zmęczenie widza?

Dlaczego? Odpowiedź na to jest jedna: reżyserję złożono tym razem w nieodpowiednie ręce. Zelwerowicz, mistrz naturalizmu i groteski, zatracił kontakt z teatrem w chwili, gdy w grę wchodzi mistyka. Nie można być człowiekiem uniwersalnym. Ale można i należy nie dotykać się skrzydeł poezji, jeśli się umie rozpiąć je tylko na drewnianych lotkach. Nie można jednej i tej samej skali efektów teatralnych przykładać do tragedji wewnętrznej, rozgrywającej się w głębiach podświadomości i do dramatu ludzkich czynów, rozwiniętego na płaszczyźnie realnej zjawy.

Inscenizacja „Dziadów” z natury rzeczy piętrzy niesłychane trudności przed reżyserem. bowiem w samej koncepcji utworu tkwi dwoistość. Świat cudów wrasta też organicznie w świat rzeczywistości zmysłowej, i tylko poecie tej miary, co Wyspiański, udało się drogą intuicji artystycznej trafić do serca utworu, dokonać doraźnej transfuzji jego żywej krwi w ciało widowni, która na początku przedstawienia może być głucha, ślepa i zimna, ale powinna wyjść z teatru z otwartymi oczami i uszami, z sercem płonącym, z głową ukołysaną rytmem słów i obrazów.

Tego właśnie rytmu wewnętrznego w zelwerowiczowskim ujęciu nie było. „Jest kościół, ale lampy brak”. Raziła przykra dysproporcja między bogactwem środków, a nikłą sumą ostatecznych wyników. Plusy i minusy wrażeń kasowały się z błyskawiczną szybkością, a jedynym dodatnim rezultatem było to, że widz wychodził trawiony nieukojoną tęsknotą do prostoty. Chybiona inscenizacja Zelwerowicza drogą negatywną może doprowadzić do właściwego ujęcia „Dziadów”. Tylko pod tym kątem widzenia możemy ją traktować, jako zjawisko potrzebne.

Gra aktorów była nierówna i niepewna. Większość błądziła poomacku. Węgrzyn oscylował między wymuszonym patosem wizjonera, a kliniczną koncepcją obłąkańca i katalęptyka. Solski, jako ksiądz, miał zgodną z oryginałem powagę i namaszczenie. Dwie epizodyczne role kobiece: pani Zahorska, jako Maryla i pani Mirska, jako Rollisonowa osiągnęły, każda w swoim zakresie, całkowity sukces. Senator Zelwerowicza i cała scena „na balu u senatora”, były arcydziełem groteski. Ze scen fantastycznych stosunkowo najlepiej wypadł obraz wstępny na cmentarzu z nastrojową defiladą chłopskich postaci białoruskich, dążących na obchód „Dziadów”. Opowiadanie kaprała miało trafny żołnierski ton i zamaszystością inter-

pretacji przyćmiło mniej fortunną w wykonaniu rellację Sobolewskiego o wywożeniu na Sybir.

Całość sprawiała wrażenie pstrej mozaiki, w której ordynarne szkiełka panoszyły się pobok autentycznych klejnotów. Jeśli teatr ma być wyrazem swej epoki, to świetne daje o obecnym stanie naszej kultury świadectwo.

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

PIERWSZY ZJAZD AKUSZEREK

W gmachu Państwowej Szkoły Higieny odbył się w listopadzie trzydniowy zjazd akuszerki, pierwszy w Polsce, zwołany staraniem zarządu głównego „Związku Akuszerki Rzeczypospolitej Polskiej”.

Przewodniczącą zjazdu wybrana została dr. Budzińska-Tylicka. Na pierwszym punkcie obrad znalazło się sprawozdanie zarządu Związku. Jak się okazuje, zarząd ten walczyć musiał z wielkimi trudnościami. Bardzo małe uspołecznienie większości członkiń przyczyniło się do tego w znacznym stopniu. Wymagały one bowiem od Związku energicznej działalności w kierunku poprawy swego bytu, niewiele myśląc o współdziałaniu w przyniesieniu i swojej pracy w tym zakresie.

Warunki egzystencji dużej liczby akuszerki warszawskich są istotnie fatalne, gdyż jest ich zbyt wielka ilość; te, które pracują w Kasach Chorych np. są źle płatne i nie korzystały dotychczas z żadnych świadczeń Kas, jak np. leczenie bezpłatne. Wynagrodzenie akuszerki szpitalnej np. jest niższe od wynagrodzenia posługaczki w tym samym szpitalu!

Pomimo tych fatalnych warunków udało się Związkowi pchnąć na racjonalniejsze tory prace Związku. Zorganizowano szereg odczytów i zebrań, Związek wydaje swoje pismo fachowe „Przegląd akuszerki”, a co najważniejsze, otwarto szereg oddziałów na prowincji.

Po zatwierdzeniu sprawozdania zarządu Związku i złożeniu mu podziękowania za owocną pracę, nastąpił cały szereg referatów, które wygłosili dr. dr.: Budzińska-Tylicka, Erlichówna, Jasiełkiewicz, Kasperowiczowa, Wernic i Zakrzewski. W przerwach między obradami członkinie zjazdu zwiedzały wystawę przeciwalkoholiczną, szpitale i t. p.

Ustalono po ożywionej dyskusji główne uchwały zjazdu są następujące: 1) Dążenie do poprawy bytu akuszerki przez podniesienie i ujednolicienie płac; 2) ustalenie stosunku z Kasami Chorych; 3) wyjednanie dla akuszerki gminnych, wojewódzkich i t. p. świadczeń takich, jak mieszkania, pomoc lekarska i t. p. 4) podniesienie poziomu wiedzy fachowej przez przedłużenie kursów do lat 2-3 i zorganizowanie jednorocznych kursów przeszkolenia. Przyczem kursy powinny być zorganizowane we wszystkich większych miastach; natomiast koncesje na nowe szkoły akuszerki nie powinny być wydawane, gdyż ilość szkół jest dostateczna; 5) ubezpieczenie na starość; 6) zwalczanie „babek” wiejskich; 7) przystąpienie do Międzynarodowego Związku Akuszerki.

Niezmiernie ważną rezolucją jest zwalczanie t. zw. „babek” wiejskich, których „praktyka” powoduje mnóstwo chorób, a nie rzadko i śmierci staje się przyczyną. Już na parę lat przed wojną na zjeździe Kółek Włościańskich poruszano b. żywo sprawę pomo-

cy akuszeryjnej na wsiach i wykorzenienie osobników, których nieuctwo grozi życiu matek i dzieci. Niestety, sprawa ta niewiele od tyłu lat posunęła się naprzód. A obecnie, rzecz charakterystyczna, gdy zarząd Związku akuszek chce—wobec nadmiaru ich w Warszawie — dopomóc bezrobotnym skierowaniem ich na prowincję, rozesłał do lekarzy wojewódzkich, gminnych i t.p. 350 listów z prośbą o wskazanie wolnych placówek dla akuszek w miasteczkach i na wsiach,—otrzymał na te wszystkie listy pięć—wyraźnie pięć odpowiedzi!

Jest to objaw bardzo smutny. Łatwo jest mówić o rozwijaniu kultury na wsiach, o potrzebach ulepszeń sanitarnych, ale, niestety! mówić — to zamało — trzeba zrobić.

Związek akuszek walczy z tysiącami trudnościami: obojętnością ogółu, brakiem uspołecznienia i zainteresowania u swych członkiń i z paraliżującym wszystkie poczynania brakiem funduszy. (cały bilans roczny Związku wynosi 4639 zł.); prawdziwym już jednak skandalem jest brak dlań poparcia i zainteresowania ze strony władz sanitarnych i lekarzy.

Miejmy nadzieję, że świeżo odbyty zjazd przyczyni się istotnie do podniesienia warunków pracy akuszek i do poprawy panujących dotychczas na wsiach warunków zdrowotnych. N. J.

KOBIEТЫ SPECJALIZUJĄ SIĘ JAKO PRZEWODNICZKI

Kobiety niemieckie zaczynają coraz częściej kształcić się jako fachowe przewodniczki. Jest to zawód zupełnie nowy — ale wobec olbrzymiego rozwoju ruchu turystycznego — bardzo popłatny. Europę zalewają obecnie podróżujący Amerykanie. Najbogatsi z nich angażują sobie specjalnego cicerone'a, dla jednej rodziny, lub na-

wet jednej osoby; mniej zamożni tworzą grupę, której komendę obejmuje przewodnik, lub przewodniczka. Musi to być osoba, znająca kilka języków europejskich, ogólnie wykształcona i wyrobiona towarzysko, a przytem mająca dobry zmysł orientacyjny. Obowiązkiem jej jest myśleć w podróży o wszystkim, gdyż Amerykanie nie chcą podróżować wygodnie, nie troszcząc się o nic. Do obowiązków więc przewodniczki należy zamówienie sleepingu, pokoju w hotelu, lub pensjonacie, wynalezienie miejsca rozrywki wieczornej, załatwianie sprawunków z paniami, no i naturalnie oprowadzanie po wszystkich godnych uwagi miejscach, jak kościoły, muzea, galerie, organizowanie wycieczek i t. p. Zato jednakże przewodnik, lub przewodniczka otrzymuje, prócz pełnego utrzymania, 10—20 dolarów dziennie. Przytem racjonalni Amerykanie uważają wprawdzie cicerone'a, jako urzędnika towarzystwa, organizującego ich podróż i wymagają od niego dużo, pozatem jednak traktują go — o ile tylko jest „na poziomie” — jako człowieka ze swojej sfery N. J.

MOWA KOBIEĆ

Flora Kraus, znana podróżniczka i lingwistka w Niemczech, wydała ostatnio nader ciekawą książkę, w której zgromadziła materiał, dotyczący kwestji języka, jakim się posługują mężczyźni i kobiety wśród rozmaitych plemion.

Okazuje się, że u ludzi, stojących na niższym szczeblu kultury, kobiety porozumiewają się zupełnie innym narzeczem, niż mężczyźni.

Np. kobiety plemion, zamieszkujących wschodnie części Afryki, a także kobiety z Borneo, mówią pomiędzy sobą językiem, zupełnie niezrozumiałym dla mężczyzn, posiadają gwara własną, jak np. u nas... złodzieje. Przyczyny szukać należy, zapewne, w tem, że gnębione, szukały sposobów ostrzegania się wzajemnego.

W każdej więc rodzinie, z pokolenia na pokolenie po kądzieli przechodzi owa gwara, którą, w wielkiej tajemnicy przed mężczyznami, a nawet sąsiadkami, przekazują stare kobiety córkom i wnuczkom.

Kobiety z Borneo dodają, na początku, na końcu, czy w środku każdego słowa jakąś nieznaną sylabę, o której wiedzą tylko one same.

Stare — dopóty ćwiczą i zachęcają młodsze latorośle, dopóki te nie dojdą do zupełnej wprawy we władaniu tą gwarą.

Wśród plemion kirgiskich należy znowu do złego tonu, gdy dziewczyny z dobrych domów używają całego szeregu słów, którymi w mowie codziennej posługują się mężczyźni.

Nie mają one np. prawa wymawiać imion męskich, nawet swych braci, stryjów, ojców, jak również wzbronione im jest surowo używanie nazw dziesiątka zwierząt.

Wogóle Kirgiska dobrze urodzona winna być ogromnie ostrożna w rozmowie, co sprawia, że kobiety tego plemienia, bardzo wygadane pomiędzy sobą, milczą zazwyczaj w obecności mężczyzn.

To samo, mniej więcej, spotyka się u Kafrów.

Młode kobiety nie mają prawa wymieniać głośno imion męskich, bodaj najbliższych sobie ludzi.

Lzieląc się pomiędzy sobą ploteczkami, muszą wysilać się na rozmaite przenośnie i aluzje, co sprawia znowu, że kobiety tego szczepu słyną z dowcipu i wielkiej fantazji.

U Indian z Brazylii kobiety i mężczyźni posiadają zupełnie inne nazwy dla niektórych przedmiotów.

Kobiety w Boliwii zmieniają końcówki słów, zaś u Karaimów kobiety porozumiewają się z mężczyznami jednym językiem, a pomiędzy sobą — zupełnie innym, daleko bardziej zawiłym. Nawet w Japonji język japoński posiada odmienną gramatykę i pisownię dla kobiet i mężczyzn. H. S.



Panna Ilza Bräsię, pierwsza kobieta-przewodnik w Berlinie

MALARKA LAURA KNIGHT
CZŁONKINIĄ ROYAL ACADEMY



Niemalą sensację w artystycznych kołach londyńskich wywołała wiadomość o powołaniu malarki, Laury Knight, na rzeczywistego członka Royal Academy (Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Londynie).

Aczkolwiek Angelica Kauffman i Mrs. Moser, należały w r. 1769 także do Akademii, to jednak od tego czasu żadna kobieta na wyspie trzeźwego Albjonu nie dostała tego zaszczytu.

Mrs. Laura Knight należy do najciekawszych i najżywoźniejszych talentów współczesnej Anglii.

Prace jej, wystawiane kolejno w Akademii, w British, Victoria i Albert Museums, zyskały powszechne uznanie.

Malarka angielska była pierwszą i jedyną kobietą, która weszła w skład jury podczas Międzyn. Wystawy Sztuk Pięknych w Pittsburgu, w Stan. Zjedn. w roku 1922.

WRÓG ROZWODÓW

Jest nim, oczywiście, Mussolini.
Co myśli o małżeństwie?

— Myślę, przede wszystkim — odpowiada dyktator włoski współpracownicze paryskiego „Figaro”, — że winno ono być nierozdzielne. Dopóki będę u steru rządów — we Włoszech nie wyjdzie prawo o rozwodach.

Podstawą małżeństwa nie może być egoistyczna miłość dwojga ludzi ku sobie: jest ono trwałym związkiem, prawnie przypieczętowanym, duchowem pokrewieństwem dwu istot zdrowych psychicznie i fizycznie, normalnych i uczciwych, mających na celu służyć dobru publicznemu i krajowi.

H. S.

NIE WOLNO SIĘ CAŁOWAĆ

Mniemamy, że tablice z powyższym „bezlitosnym” napisem zostaną wreszcie umieszczone we wszystkich średnich i niższych uczelniach żeńskich, na całym terytorjum Polski.

Dawno, już bowiem, należałoby zapobiec roznoszeniu wśród dzieci zarazków różnych chorób i szerzeniu epidemii zapomocą pocałunków.

Ostatnio wileńskie kuratorjum szkolne wydało surowy zakaz całowania się dziewcząt, jako formy powitania żeńskiej młodzieży szkolnej.

Wystarczyć musi serdeczny uścisk dłoni.

Wilno nie powinno pozostać w tej akcji odosobnione, H. S.

IDEAŁ KOBIETY WEDŁUG KIPLINGA

Pewne stowarzyszenie kobiece w Londynie zwróciło się do znakomitego pisarza Rudyarda Kiplinga z prośbą, aby zechciał odpowiedzieć: jakie cechy charakteru i cnoty winna posiadać, według niego, najidealniejsza kobieta?

R. Kipling odpisał:

1) Kobieta musi być podobna do ślimaka: nigdy bowiem nie powinna opuszczać swego domu. Ale i... nie powinna być podobna do ślimaka, który wszędzie i zawsze ciąga na sobie swój domek-skorupkę. Tylko śmieszna kobieta nosi zawsze i wszędzie wszystkie stroje i biżuterję, jakie posiada.

2) Kobieta musi być podobna do zegara, wiszącego na wieży ratuszowej w miasteczku: jak zegar, musi być punktualna i ściśle w swych zatrudnieniach koło gospodarstwa domowego. Ale i... nie powinna być podobna do zegara, który wisi na wieży ratuszowej w każdym miasteczku: nie powinna bowiem pokazywać wszystkim swej cnoty, którą musi ukrywać z całą wrodzoną sobie skromnością.

3) Kobieta powinna być, jak echo: czyli odpowiadać tylko wówczas, gdy się jej zadaje pytanie. Ale i nie powinna być, jak echo... i powtarzać wszystkiego, co słyszy.

Jeżeli więc znajdzie się taka przedstawicielka płci pięknej, która potrafi zjednoczyć w sobie wszystkie te cechy charakteru i cnot, to; według zdania znakomitego pisarza — będzie ideałem. Myślimy jednak, że znakomity pisarz angielski operuje pojęciami o kobiecie cokolwiek... przestarzałymi! H. S.

Z WYDAWNICTW

Ukazał się 10-ty (grudniowy) numer ilustrowanego miesięcznika dla wszystkich „Na Fali” i zawiera treść następującą:

„W grocie królowej zimy” — Ilustracja; „Na złotej wyspie” — Aurelii Wyleżyńskiej z 2-ma ilustracjami; „Papuga z okrętu” — Zofji Kachelówny z 2-ma ilustracjami; „Wróżby ludu na Św. Andrzeja i Św. Katarzynę” — Janiny Tuwanówny z 2-ma ilustracjami; „Teatr Chiński” — Tadeusza Szukiewicza z 5-ma ilustracjami; „Jak powstaje perła” — Litt z 4-ma ilustracjami; „Posada” — Lucyny Krzemienieckiej z 2-ma ilustracjami; „Impresje Tureckie” z wycieczki architektonicznej — P. M. Lubińskiego z 10-ma ilustracjami; „Sobole” — O. Henry z 3-ma ilustracjami; „Cuda zimowe” — 4 ilustracje; „Ze zbiorów wolnomularskich Muzeum Narodowego w Warszawie” — Stanisław Małachowski-Lempicki z 3-ma ilustr. „Cuda zielonej architektury” — A. B. N. z 6-ma ilustracjami; „Kacik humorystyczny” — z 2-ma ilustracjami, Dział zadań i rozrywek.

Ogółem numer zawiera 46 ilustracji w tekście.

Cena numeru 1 zł. 50 gr. dla prenumeratorek „Bluszczu” 1 zł.

*

Kalendarz „Iskier” na rok 1928 jest już czwartym rocznikiem tego wydawnictwa, różniącym się od wydawnictw zagranicznych znacznie większym bogactwem materiału. W szczególności wyczerpująco opracowany jest dział wiadomości polskich. Kalendarz „Iskier”, jako podręczna encyklopedia najważniejszych wiadomości ze wszystkich dziedzin wiedzy, jest niezbędny w codziennym życiu dla każdego, zarówno dorosłego, jak młodzieńca. Wydany na specjalnym cienkim papierze, w dogodnym formacie, w miękkiej, płóciennej oprawie, mimo 256 stron tekstu nadaje się doskonale do noszenia stale w kieszeni i może służyć, jako notatnik, posiada bowiem wolne rubryki na każdy dzień. Duży nacisk kładzie kalendarz w szeregu uwag i wskazówek na „organizację pracy codziennej”. Wydany został przez „Iskry”, tygodnik dla młodzieży (Warszawa, Warecka 14), opracowany przez redaktora Władysława Kopczewskiego. Kosztuje w oprawie 3 zł. 80 gr.

ZAGADNIENIA PSYCHOTECHNIKI

W zespole zagadnień ogólnoludzkich oddawna już naczelną rolę zajmuje zagadnienie niezmiernie doniosłości dla ogółu społeczeństwa i dla poszczególnych jednostek,—jest to mianowicie zagadnienie właściwszego wykorzystania indywidualnych uzdolnień człowieka i całych grup społecznych w celu powiększenia potęgi całej ludzkości, jak również w celu urzeczywistnienia najwłaściwszej osnowy zawilej i subtelnej tkani jej wytwórczego organizmu. Psychotechnika ma przed sobą jeszcze ważniejsze zadanie, a mianowicie: znalezienie realnych przesłanek dla fundamentalnej przebudowy całej tonacji życia i całej ideologii ludzkości. Tonacji życia—o ile wypełnienie swej pracy, zadawalającej jednostkę i odpowiedniej do jej sił fizycznych i moralnych, rozświetla okrzepiającym blaskiem wewnętrznym całą istotę człowieka; ideologii ludzkości—o ile możność rozpoznawania uzdolnień daje jednostce prawo do właściwej zawodowej drogi w życiu, i dla społeczeństwa prawo domagania się tej drogi od każdego i dla każdego.

Do rozwiązania tych zagadnień wiedzie uciążliwa i mozolna droga, a raczej jej poszukiwanie w chaotycznym splocie uzdolnień i dyspozycji człowieka. Jesteśmy dopiero u progu jakiegoś olbrzymiego gmachu, usiłujemy uchylić rąbek kotary, która kryje poza sobą nieznane, zaledwie przeczuwane prawdy i promienne możliwości sterowania ku szczęściu całych grup społecznych i narodów. I nie sama tylko chęć dociekania tajników bytu zmusza do tej pracy naukowo-twórczej, lecz życie samo wysunęło szereg potrzeb i gwałtownie domaga się rozwiązania problemów organizacyjno-gospodarczych. W powojennym okresie Europy wszystkie nacje stanęły do wyścigu o zdobycie lepszego jutra, i zwycięstwo przypadnie w udziale temu narodowi, który, drogą racjonalnego wykorzystania uzdolnień swych członków, potrafi najlepiej i najtaniej produkować. W zagadnieniach psychotechniki spletają się z sobą w doskonałej harmonii interesy całych grup społecznych i poszczególnych jednostek. Grupy społeczne osiągają moc, dzięki skoordynowaniu wysiłków poszczególnych członków; jednostka zaś, trafiając na właściwą drogę w życiu, osiąga zadowolenie i osobiste szczęście.

Same te zagadnienia nowymi bynajmniej nie są, lecz potraktowane zostały naukowo dopiero od niedawna. Nieudane kariery życiowe, moc nieszczęśliwych wypadków przy pracy, wreszcie konieczność usprawnienia wysiłków ludzkich zwróciły uwagę kół naukowych i zmusiły do naukowego badania. Około 17 lat temu prof. Münsterberg w Ameryce zapoczątkował badania motorniczych tramwajowych oraz telefonistek, w celu wykrycia kompleksu predyspozycji psychicznych jednostek, poddanych badaniu laborato-

ryjnemu, a następnie w celu stwierdzenia obecności u badanych pewnych uzdolnień i dyspozycji, niezbędnych przy wykonywaniu prac, związanych z temi zawodami. Opinie, dotyczące osób, poddanych badaniu laboratoryjnemu, okazały się w większości wypadków zgodne z opinią zarządów instytucji użyteczności publicznej. Dowodnie przeto okazało się, że metody badania były właściwe i że na tej właśnie drodze należy szukać rozwiązania zagadnienia doboru pracowników. Rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Odszkodowania, płacone przez zarządy towarzystw tramwajowych, sięgające zawrotnych dotąd sum, zmalały do znikomego ułamka; pracownice stacji telefonicznych nie zmieniały się obecnie tak często, jak dotąd. Ten pierwszy wynik dał asumpt do dalszych prac eksperymentalnych i biura porady zawodowej, rozsiane po miastach i miasteczkach Stanów Zjednoczonych, otrzymały nikłe narazie, lecz trwałe podstawy naukowe, na których można się było oprzeć przy udzielaniu porad zgłaszającej się młodzieży. Okres Wielkiej Wojny stawiał psychotechnice nowe zadania. Organizowanie armji amerykańskiej wymagało odpowiedniego posortowania i rozklasyfikowania milionowych rzesz ludzkich. Przyznać trzeba, że tutaj psychotechnika egzamin zdała celująco.

Rządy państw europejskich, zmuszone uzupełniać kadry wojskowe, jak również wynajdywać siły zastępcze dla fabryk i warsztatów, pozbawionych swych pracowników, powołanych obecnie pod broń, wzorowały się na Ameryce i zastosowały te systemy i metody, jakie znaleziono gotowe u zamorskich sprzymierzeńców. Podobno po bitwie nad Isonzo, gdy całe laboratorium psychotechniczne wpadło w ręce Niemców, ci rozpoczęli u siebie stosować te metody, w szczególności przy doborze sił technicznych w wojsku i w awjatyce.

Przyznać trzeba, że praktyka życia codziennego niezawsze wykazywała słuszość metod badania, a i same badania niekiedy nie miały racji istnienia. Po wojnie pracownie psychotechniczne rozrastają się w nader szybkim tempie. Życie gospodarcze woła o prawidłowy dobór pracowników, masy młodzieży szukają wskazówek, co do obrania właściwej drogi życiowej. Pracownie naukowe dostarczają coraz to więcej wskazówek praktycznych, gromadzą niesłychanie bogaty materiał doświadczalny, mnożą się pomysły wielce eksperymenty, dążące do wykrywania najrozmaitszych składników jaźni ludzkiej. Jednakże jeszcze bardzo wiele pozostaje do wykrycia i opracowania: stoimy dotąd jeszcze często bezradni wobec tajemniczego sfinksa, jakim jest zespół władzy ludzkiej. Niemniej pierwsze trudności już pokonano, przerabano pierwsze gąszcz, wykute w twardej opoce; pierwsze stopnie, wiodące na niebotyczne a zamglone szczyty wiedzy o duszy ludzkiej.

Z dumą możemy powiedzieć, że i u nas tej sprawy nie zaniedbano, powstała bowiem już w roku

1917 podobna placówka naukowa. Nie wyrosła ona ze wzorów zagranicznych, bo w owym czasie odcięci byliśmy do świata, lecz powstała na naszym gruncie, jako twór samodzielny i nawiąskroś oryginalny. Gorące umiłowanie młodzieży, serdeczna troska o jej byt przyszły, świadomość, że skierowanie owej młodzieży do właściwego zawodu posiada olbrzymią doniosłość dla życia społecznego, wreszcie głęboka znajomość duszy ludzkiej była podłożem, z którego wyłoniła się wielka, a piękna myśl, która przyoblekła się w szatę realną w postaci pierwszej pracowni psychotechnicznej w Polsce. Ze skromnych początków rozrosła się i zajęła miejsce pomiędzy najpoważniejszymi instytucjami tego typu w Europie. Historję powstania i rozwoju tej pracowni autor niniejszego artykułu zamieścił w 1 numerze czasopisma „Psychotechnika”. Podkreślić wszakże należy, że twórcą wspomnianej instytucji był inż. Wacław Hauszyl, który i dotychczas otacza troskliwą opieką naszą pracownię psychotechniczną. Pracownia ta zdobyła gorących zwolenników i przyjaciół wśród najszerszego grona światłych obywateli stolicy, a szereg warsztatów przemysłowych należycie ocenił jej pożyteczną działalność.

Nie mam możliwości w niniejszym artykule zapoznać czytelników z metodami badań, mających na celu wykrycie zespołu dyspozycji psychicznych, warunkujących przydatność jednostki do wykonywania danego zawodu, lecz postaram się ogólnikowo przedstawić, jakie czynności spełnia przy tem pierwsza pracownia psychotechniczna w Polsce. Samo badanie rozpada się na cztery zasadnicze etapy. Przedewszystkiem—wywiad kancelaryjny: rodzaj ankiety, służącej do zaznajomienia się z pragnieniami zgłaszającej się młodzieży; następnie pomiary antropometryczne, dające szereg wskaźników, ilustrujących rozwój fizyczny jednostki; potem szczegółowe oględziny lekarskie; wreszcie egzamin psychologiczny. Przy tym egzaminie badane są nader szczegółowo zmysły pod względem ich ostrości i sprawności. Zwraca się uwagę na tak zwaną miarę wzrokową, wrażliwość ucha na tony i szmery, czułość dotyku, sprawność i czułość smaku i węchu. Poddana jest badaniu zręczność ruchów, ich precyzja, pewność; zmęczenie fizyczne, oraz wytrzymałość w pracy, zarówno fizycznej, jak umysłowej; szybkość reagowania na podniety, wreszcie wola, sugestyjność, opanowanie, pomysłowość, rozumienie, i cały zawiły splot wyższych funkcji, składający się na inteligencję. Tą drogą uzyskane wyniki pozwalają sądzić o remanencie sił intelektualnych danej osoby, o ukrytych potencjach, a tem samem dają możność ostrzec przed obiosem niewłaściwego zawodu, a niekiedy nawet pokierować losem człowieka przez wskazanie mu odpowiedniej drogi w życiu. *Piotr Macewicz.*

OGRÓDKI DZIAŁKOWE

II

Ogródki działkowe w Poznaniu są pod protektorem Dyrekcji Ogrodów Miejskich, która opracowała specjalne statuty, regulaminy i szematy umów dzierżawnych, a dla skoncentrowania akcji, poświęconej opiece nad ogródkami działkowymi, stworzyła specjalne biuro, za którego inicjatywą odbywają się fachowe wykłady dla członków kolonij, posiedzenia, ożywione dyskusją zgromadzonych, którym instruktor udziela wskazówek tak technicznych, jak i praktycznych.

W roku ubiegłym zaprowadzono z inicjatywy dyrektora ogrodów miejskich, p. Władysława Marcińca, ćwiczenia gimnastyczne, zabawy i gry na boiskach, które wchodzi w skład każdej poszczególnej kolonii. Boiska te są dostępne nietylko dla dzieci właścicieli ogródków działkowych danej kolonii, ale dla wszystkich dzieci wogóle.

Nad tą liczną rzeszą czuwają emerytowane nauczycielki i nauczyciele, oraz zakonnice. Województwo poznańskie, zainteresowane chwalebą inicjatywą, stworzyło specjalny fundusz, dzięki któremu dzieci, ćwiczące się na wyżej wspomnianych boiskach, dostają codziennie świeże mleko i zakąski. Kolonia im. Henryka Sienkiewicza na Wildzie wykazała, jak dotąd, najżywotniejszą akcję, organizując, za inicjatywą prezesa Pękackiego, dalsze wycieczki dla dzieci, w czasie których zwiedzają podmiejskie lasy i okolice Poznania. Wycieczki takie, połączone z pogadankami przyrodniczymi, rozwijają umysł dziecięcy, nie przeciążając go bynajmniej w okresie wypoczynku wakacyjnego.

A teraz przypatrzmy się, jak sprawę ogródków działkowych ujmuje pan W. Janicki, instruktor ogródków działkowych w Poznaniu.

Pan Janicki słusznie kładzie nacisk na to, aby w planach rozbudowy miast uwzględniano tworzenie



Łysiec Stary — szkoła 2 kl. — pow. Bohorodczany:
Praca działwy w ogrodzie szkolnym.

stałych kolonij i ogródków działkowych. Na pojęcie „stałych“ należy położyć nacisk specjalny, gdyż ogródki, powstające na terenach wolnych chwilowo, prędzej, czy później muszą ulec zagładzie, co budzić musi w następstwie zrozumiałe rozgoryczenie między działkowcami i zniechęca ich do dalszej pracy.

Pan Janicki idzie dalej w chwalebnej chęci zabezpieczenia, utrwalenia i rozszerzenia idei, dopominając się o to, aby Sejm wydał ustawę o popieraniu akcji tworzenia ogródków działkowych i o ochronie tychże, aby dla spraw ogródków działkowych zakładano przy magistratach specjalne biura i poradnie, a wreszcie uważa słusznie za konieczne stworzenie sprężystej organizacji działkowców, pod postacią Związku Ogólnopolskiego dla ogródków działkowych, wzorując się w tym wypadku na identycznym związku, pracującym wzorowo w ojczyźnie ogródków działkowych — w Niemczech.

Pan Janicki, rozwijając w dalszym ciągu ideę udoskonalenia organizacji, wdaje się w szczegóły, opracowane na podstawie doświadczenia i fachowego wykształcenia, dowodząc słusznie, że zasady, na jakich opierać się winny kolonie działkowe, muszą być ujednoliconie w myśl następujących punktów:

1. Teren kolonji winien się znajdować jaknajbliżej mieszkań działkowców, posiadać dobrą glebę, możliwość dostatecznego nawodnienia i ochronę przed złoziejami.

2. Kolonja powinna mieć najmniej 250 do 500 ogródków.

3. Działki powinny być uskutecznione w ten sposób, aby drogi pomiędzy nimi można było przeprowadzić z jaknajwiększą oszczędnością terenu; znaczy to, że po dwie, a nawet po cztery działki powinny do siebie przylegać.

4. Przestrzeń ogródka zamykać się winna w 300 do 400 mtr. kwadratowych, gdyż praktyka wykazała, że teren taki jest najodpowiedniejszy.

5. Drogi główne winny mieć 3 m. szerokości; na skrajach muszą być zabezpieczone kamieniami, by ich nie niszczyły wozy.

6. Kolonja powinna posiadać boisko, względnie miejsce do zabaw, przystosowane wielkością do obszaru kolonji.

7. Kolonja musi mieć przyrządy do nawadniania, wodociągi, lub pompy.

8. Kolonja powinna być ogrodzona jednolitym płotem, lub siatką drucianą i posiadać jednakowe, estetyczne w rysunku bramy, prowadzące do poszczególnych ogródków.

Koniecznym warunkiem harmonijnego współżycia członków kolonji jest ściśle przestrzeganie ustaw,



Ogródki działkowe w Poznaniu: Kolonja Działkowa.

Fot. R. S. Ulatowski.

przepisów i wszystkich punktów umowy dzierżawnej. Plan ogródka działkowego powinien przewidywać nie tylko przyjemność i zadowolenie optyczne, ale musi mieć na względzie i rentowność ziemi. Dla osiągnięcia powyższego ogródek musi mieć zabezpieczony dostateczny dopływ światła, słońca i powietrza w miejscach, przeznaczonych pod hodowlę warzyw, owoców i kwiatów. Trzeba zatem przy zakładaniu ogrodu zwrócić baczną uwagę na kierunek światła.

Projektując ogródek działkowy należy, — jak słusznie poucza pan Janicki, — uwzględnić: 1.) miejsce pod altanę; 2.) miejsce do zabawy dla dzieci; 3.) miejsce na kurnik; 4.) miejsce na kompost; 5.) wytknąć główną ścieżkę, jako oś ogrodu, na 1 m. szeroką, z furtką, czyli bramą w przednim opłotowaniu; 6.) boczne ścieżki, celem zaoszczędzenia każdego skrawka ziemi, wyciąć jaknajwężiej (30 cm.); 7.) zagony pod warzywa, z uwzględnieniem osobnej grządki na hodowlę rozsady; 8.) miejsce na rabaty i klomby kwiatowe; 9.) stosowny dobór i umiejętne rozmieszczenie drzew i krzewów, tak owocowych, jak i ozdobnych.

(W poznańskich ogródkach działkowych istnieje osobny regulamin, dotyczący sadzenia drzew owocowych, mający na względzie dobro bezpośrednich sąsiadów). Należy wreszcie pamiętać przy rozplanowaniu ogrodu o trawniku i ewentualnej fontannie, lub pergoli, nie zapominając przytem o niewielkim skrawku ziemi, przeznaczonym pod pompę, wodociąg, lub beczkę wody.

Ścieżki powinny być umocnione gruzem, żużlami, płytami betonowymi, lub żwirem. Obrzeżenie klombów i rabat wykonać należy zapomocą dachówek, płyt cementowych, cegieł, kamieni, lub taśmy żelaznej, czy drewnianej.

Ważną rzeczą w ogródku jest siatka do szpalców owocowych. Siatka taka powinna się składać z wysokich na półtrzecia metra listewek, rozmieszco-

nych w odległości 40 ctm., opartych o słupy, odległe jeden od drugiego o 4 m., przy pięciu poprzecznych drutach. Oto krótkie zobrazowanie racjonalnej gospodarki, tak kolonii, jak i poszczególnych jej działek, z punktu widzenia zasłużonego instruktora poznańskich ogródków działkowych p. W. Janickiego. Załączone ilustracje pozwalają nam zdać sobie sprawę z wyglądu całej kolonii i jednego z jej licznych ogródków.

Zbytecznem będzie zużywanie słów na przekonanie mieszkańców miast, pozbawionych przez długie miesiące kontaktu z naturą i przyrodą, jak bardzo ważną sprawą jest praca nad zorganizowaniem we wszystkich miastach polskich kolonii, o jakich mowa.

Z ideą ogródków działkowych łączy się poniekąd i ogrodnictwo szkolne, które budzi w dzieciach zamiłowanie do pracy na roli. Działka szkolna, pracując we własnym ogrodzie, zdobywa w sposób łatwy i trwały szereg wiadomości fachowych i przyrodniczych. Zważywszy na wielkie korzyści, jakie przynosi, ogród szkolny staje się w nowoczesnym życiu jednym z najważniejszych czynników kultury tak wsi, jak i miasta.

Kuratorjum lwowskiego okręgu szkolnego zajęło się żywo sprawą ogrodów szkolnych, urządzając w r. 1924 kurs dla inspektorów i kierowników szkolnych, poświęcony specjalnie ogródkom szkolnym. Okólnikiem z dn. 28 maja 1925 r. Kuratorjum lwowskie poleciło wszystkim szkołom opracować plany ogrodów szkolnych, zaznaczając, że ogród taki, zwłaszcza przy szkołach wiejskich, musi mieć wygląd wzorowego ogrodu postępowego gospodarza, z uwzględnieniem ogródka botanicznego dla ważniejszych roślin leczniczych, miododajnych i przemysłowych. O celowości i wydajności powyższych usiłowań świadczy najlepiej fakt, że już w 1925 r. na lwowską Wystawę pszczelnico-ogrodniczą, w której brało udział 45 powiatów, Rady szkolne powiatowe nadesłały okazy wystawowe, zebrane przez nauczycielstwo z 434 ogródków szkolnych.

W. D.

OTWARCIE INSTYTUTU KOSMETYCZNEGO „IZIS“

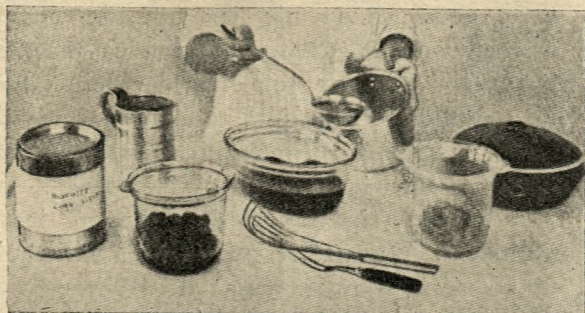
W ostatnim czasie zalała nas powódź mydeł, kremów i t. p. środków, które, rzekomo, mają uczynić całe pokolenie kobiece pięknem. I w rezultacie, kobieta, skądinąd nawet dbająca o siebie, staje bezradna wobec potęgi reklamy, nie wiedząc, jak naprawdę wziąć się do zabiegów nad swoją urodą.

Wspominam o tem dlatego, że w ostatnich dniach pokazano nam coś, co radykalnie postanowiło wyprowadzić z błędu kobietę i ukazać jej prawdziwą drogę do piękna. Myślimy o Instytucie Kosmetyczno-Lekarskim „IZIS“, który otwarto przy ul. Żabiej 4 m. 18, w gmachu Ordynacji hr. Zamojskich. Otóż, wbrew dotychczasowym, dezorientującym kobietę, metodom, „IZIS“ zamierza wszelkie braki urody kobiecej nie pokrywać kremem, pudrem, czy szminką, ale usuwać je na podstawie ogólnej nauki o zdrowiu. A więc, najpierw zdrowy wygląd naturalnej cery, ożywienie mięśni i tkanek, a potem dopiero, jeśli już chcemy, krem, puder, czy szminka. Oczywiście, że taka metoda, która kultywuje zdrowie, podnosząc jednocześnie urodę, jest jedyną metodą, którą z czystym sumieniem można wszystkim polecić.

Elf.

SŁODYCZE GWIAZDKOWE

Przy dzisiejszej drożyznie cukierków nie każdy może pozwolić sobie nie tylko na ofiarowanie komuś, jak to dawniej przyjętem było z okazji Gwiazdki, pudełka słodczy, ale nawet kupić ich trochę do domu, aby mieć czem przyjąć świątecznego gościa. Kto ma konfitury, usmażone w lecie, z łatwością zastąpi kupne cukierki owocami, suszonymi na sposób kijowski, albo osmażanymi, tak zwanymi „fruits glacés“ na sposób nicejski. Kiedyś miałam sposobność zbadać dokładnie tajemnice przygotowywania jednych i drugich, a że byłam odważna i trafiało mi do przekonania przysłowie, że nie „święci garnki lepią“, spróbowałam, i próba wypadła doskonale. Może i czytelniczki moje, idąc za moim przykładem, zechcą przygotować takie przysmaki i skorzystają z moich wiadomości. Mylnem jest mniemanie, że tylko owoce, specjalnie smażone do suszenia, mogą być użyte na suchą konfiturę. Byłyby ładne, nierozgotowane i nietwarde, każde dadzą ususzyć się po kijowsku w miałkim cukrze, a złożone w drewniane pudełka, osobno każdy gatunek, przełożony papierem, naśladują do złudzenia autentyczną kijowską „bałabuchę“. Powleczone przezroczystym karmelem, po francusku osmażone owoce, również są doskonałe, mają tylko tę wadę, że najlepiej zrobione, zaledwie 2 dni zachowują przezroczystość, poczem powłoka z cukru bieleje, kruszy się i odpada; to też nie trzeba robić większej ilości, ale tylko tyle, co potrzeba na jeden lub dwa razy. Na kijowską „bałabuchę“ każdy owoc można wyjąć z syropu, odsączyć go na sitku w cieple, a gdy ścieknie syrop, obsypać grubo miałkim cukrem, ułożyć na drucianych lasach na nóżkach, aby reszta syropu swobodnie ściekała w podstawione naczynie, i suszyć wolno w zaledwie letniej temperaturze. Lasy trzeba zrobić specjalnie na miarę piecyka, w którym owoce suszyć będziemy, uważając, aby drut był w najlepszym gatunku, a tem samem nie rdzewiał i nie wydzieliał nie miłego odoru blachy. Po pierwszym obsuszeniu trzeba zdjąć owoce, utarzać powtórnie grubo w miałkim cukrze (pudrze) i znowu obsuszyć. Powtarzać tę czynność, obsypując za każdym razem coraz grubiej cukrem, dopóki puder na wierzchu owoców zupełnie czystym nie będzie. Suszyć trzeba bardzo powoli, bo im piec łżejszy, tem owoc będzie bardziej miękki. Najmniejsze nawet jagody do „bałabuchy“ suszy się osobno, kiedy do francuskich „fruits confits“, drobniejsze, jak: wiśnie, agrest, dereń, głóg i t. p., nadziewa się na drewniane szpilki, wystrugane cienko z twardego drzewa (bez żywicy); najlepsza do tego użytku będzie trzmielina. W większe owoce, jak morele, brzoskwinie, kawałki melona, ćwiartki lub połówki gruszek etc. — wkłada się szpilkę drewnianą, za jej pomocą macza w bardzo gęstym syropie, tak aby na powierzchni natychmiast zastygła lśniąca powłoka. W tym celu trzeba ugotować syrop „do nitki“, któ-



Owoce suszone „fruits confits” można przyrządzić z konfitur...



i na kijowską „bałabuchę” można zużytkować konfitury

rego gęstość poznaje się po umaczaniu w nim łyżki durszlakowej i dmuchnięciu w nią: jeżeli dziurkami wylatują nitki, a nie krople, syrop ma dosyć. Maczać w nim po jednym owoce, a następnie natychmiast zanurzać w bardzo zimnej wodzie z lodem, układać na sitach i postawić w miejscu chłodnym, a suchym, do zastygnięcia. Śliwki węgierki, ładnie usmażone, odsączyć dokładnie z syropu, wkładać jedną w drugą, aby były grube i duże i suszyć na lasach w ledwo letnim piecu. Będą miękkie, lśniące, jak lakierowane. Kto ma późny gatunek gruszek, dojrzewający w tej porze, niech wybierze kilkanaście sztuk niezupełnie jeszcze dojrzałych, obierze je, wydrąży środki, obgotuje, odsączy i ostudzi. W miejsce po pestkach trzeba włożyć kuleczki z masy migdałowej i smażyć po kilka naraz w syropie, zrobionym po połowie z wody i miodu. Skoro będą miały dosyć, wybierać je łyżką durszlakową, smażyć następne, i tak dalej, aż wysmażymy wszystkie, wtedy ułożyć je na lasach i obsuszyć cokolwiek w letnim piecu. Zdjąć gruszki, spłaszczyć każdą łyżką, maczać w pozostałym syropie, znów suszyć i tak powtarzać, aż do zupełnego wyschnięcia. Im wolniej schną, tem będą lepsze: prędko wysuszone, zawsze są twarde.

Można także niezupełnie dojrzałe, obrane i wydrążone gruszki ugotować w wodzie, pół na pół z miodem zmieszanej; wyjąć, ułożyć na blasze, wstawić do lekkiego pieca, niech się zwierchu zetną. Syrop pozostały wysadzić do gęstości miodu, gruszki wyjąć z pieca, każdą umaczać w syropie, obsuszyć, i tak powtórzyć jeszcze ze cztery razy — w końcu ułożyć w płaskim, kamiennym naczyniu, przykryć talerzem, przycisnąć kamykiem, aby zupełnie się spłaszczyły. Taksamo można robić gruszki w gęstym cukrowym syropie: będą miały śliczny pomarańczowy kolor.

Doskonałą do bakalji jest rosyjska pastila, robiona z kwaśnych pieczonych jabłek, najlepiej antonówek, które do Bożego Narodzenia dotrwać powinny. Przesiać je przez sito i bić na pianę łopatką, póki nie zbieleją; wtedy odmierzyć ilość piany dodać do niej czwartą część utartego również do białości najpiękniejszego miodu i znowu bić razem do śnieżnej białości. Wziąć na dwa palce głęboką blaszkę, wysypać mialkim cukrem, wlać w nią masę i piec w letnim piecu, jak na biszkopty. Można, gdy

podeschną, posypać powierzchniu grubo cukrem mialkim i nalać drugą warstwę masy, zakolorowanej na różowo. Gdy ostygnie, wyrzucić na deskę i ostrym nożem pokrajać w kawałki.

Orzechy włoskie potłuc tak, aby połówki ziarna a lepiej całe, pozostały w całości, napęlić wszystkie puste miejsca gęstą marmeladą, maczać w syropie do nitki, a następnie w lodowatej wodzie, układać na sicie i obsuszać w chłodzie.

Inny sposób przyrządzania orzechów, jest w miodzie: z potłuczonych orzechów wybrać ziarna i ususzyć w letnim piecu tak, żeby były kruche, kładąc je w ciepło po kilka razy. Czystego miodu usmażyć aż do zrumienienia, do gorącego wrzucać wysuszone, pokruszone orzechy, a mieszając ciągle, dosypywać tyle orzechów, aby masa zrobiła się gęsta. Gdy miód ścinać się zacznie, znaczy, że gotowe. Brać łyżeczką masę i układać kupki na oblanym wodą półmisku.

Bardzo lubiane, zwłaszcza przez panów, są migdały palone w cukrze. Na 1 funt czysto obtartych migdałów w skórce, zrobić syrop z jednego funta cukru, umaczanego w wodzie. Spróbować gęstości syropu, maczając w nim patyczek, a następnie kładąc go w zimną wodę. Jeżeli cukier odpadać będzie kawałkami, syrop jest dobry. Wrzucić weń migdały, mieszać je ciągle, a gdy zaczną obsychać, odstawić, posypać mialkim cukrem, znów postawić na ogniu i smażyć aż do zrumienienia na brązowo. Wtedy wyłożyć migdały na półmisek zmaczany wodą i prędko porozdzielać je widelcem każdy osobno.

Nugat można robić z orzechów włoskich, albo z migdałów i orzechów tureckich, wziętych po połowie. Oparzony i obrany 1 funt orzechów włoskich, ważonych bez skorupki, pokrajać w dosyć grube paski i wrzucić do bardzo gęstego syropu, zrobionego z 1 funta cukru i osobno zagotowanego pół funta miodu, który wlać do syropu i smażyć pół godziny. Ubić bardzo sztywną pianę z 12 białek, kłaść po łyżce do syropu z miodem, a gdy wszystko włożone, lekko wymieszać i smażyć na wolnym ogniu, aż masa tak zgęstnieje, że przez środek przecięta łopatką, nie złączy się napowrót. Wyłożyć blachę opłatkiem, rozsmarować na palec grubo masę, zwierchu przykryć opłatkiem, przycisnąć lekką deseczką i wynieść na chłód. Nazajutrz pokrajać na kawałki.

Na zakończenie tych zagranicznych przepisów, podam jeszcze w pamięci pozostałe wyborne polskie makagigi, na które trzeba wziąć 1 funt tłustego, grubego, niebieskiego maku, a wrzuciwszy go do bardzo gęstego syropu, smażyć, mieszając tak długo, aż cukier rumieć się zacznie. Wtedy dolać pół szklanki miodu i smażyć jeszcze pół godziny. Wkońcu wylać masę na blat marmurowy, albo, w braku blatu na czystą stolnicę, oblaną zimną wodą, rozwałkować cienko porcelanowym wałkiem, a jak obeschnie, pokrajać w kwadraciki wielkości irysków.

Hanna W.



GRUDZIEŃ W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Cały grudzień upływa właściwie pod znakiem Świąt Bożego Narodzenia: przygotowania do nich i same Świąta zajmują niepodzielnie każdą panią domu. Szczególnie, jeśli chodzi o zakupy, to nietylko panie, zamieszkałe na wsi, które z konieczności muszą wszelkie zapasy robić wcześniej, w większych ilościach, lecz i panie z miasta, im wcześniej je porobią, tem bardziej zyskają na czasie, tak drogim wciągu dni ostatnich, kiedy to robota czeka, a tu w sklepach długie ogonki i swojej kolei doczekać się niesposób. Wszystko, co się nie psuje, a zatem: mąkę, cukier, miód, orzechy, mak, bakalie, a nawet masło i jaja można zakupić na parę tygodni przed świętami. No i podarunki dla dzieci, służby i tych domowników, którym według tradycji one się należą. Nabywając je w ostatniej chwili, zawsze jesteśmy z nich niezadowolone, bo śpiesząc, nie można zrobić należytego wyboru, obsługa w sklepach szwankuje, subjekci i ekspedjentki zamęczone, przedenerwowane i t. p.

Dawniej poważną rubrykę wydatków stanowiły ozdoby choinkowe; dzisiaj, kiedy Towarzystwo Wydawnicze „Bluszcz” wydało aż dwie książeczki ze ślicznymi wzorami takich zabawek,—tylko trochę dobrych chęci i czasu ze strony wychowawców, a same dzieci porobią sobie wszystko, co do ozdoby tradycyjnego drzewka jest potrzeba. Nie będzie, co prawda, dawniejszej, tajemniczej niespodzianki, nie będą zamierały ze wzruszenia serduszka przed zamkniętymi drzwiami, za którymi kryje się drzewko od Bozi przysłane—ale dzisiejsze dzieci są od dawniejszych znacznie mniej naiwne, a całe szeregi wieczorów, spędzonych na milej pracy klejenia, malowania i obmyślenia zabawek, zastąpią doskonale jedną chwilę słodkiego.

wzruszenia. A co nie jest też do pogardzenia, to oszczędność poważna, zrobiona na wydatkach świątecznych i na towarach—niemieckich, gdyż od czasu, jak rosyjska granica jest zamknięta, wszystkie świecidełka wyłącznie z Niemiec do nas przychodzą.

Po załatwieniu zakupów wszelkich, robotą, którą można również zawczasu wykonać, jest pieczenie pierników. Wprawdzie, w miastach szczególnie, mało kto się tem zajmuje, mając do wyboru przeróżne wyroby cukiernicze; jednak piernik domowy, na prawdziwym miodzie robiony, jest takim przysmakiem o jakim ci, co rozmaite toruńskie i inne fabrykaty jadają, żadnego pojęcia mieć nie mogą. Ciasto na prawdziwe miodowniki dawniej się robiło na kilka tygodni przed świętami; do wybijania go i wyciągania brało się najsilniejsze folwarczne dziewczęta, gdyż robota koło niego nie była łatwa.

Już gotowe ciasto trzymano parę tygodni w garnku, lub, częściej, w dzieży, gdyż niewarto było tyle zachodu robić dla niedużej ilości. Potem się pierniki piekło, przyczem część ich musiała być wycinana w kształty ludzi, zwierząt i t. p., aby po odpowiednim ulukrowaniu i umalowaniu zawisnąć na choince. Nakoniec pierniki musiały jeszcze dni kilka leżeć, aby zmięknąć i skruszeć, bo miodowe pierniki mają to do siebie, że pierwsze dni parę po wyjściu z pieca są twarde — a po tygodniu rozpływają się w ustach.

Otóż dzisiejsze gospodynie, oczywiście, nie zechcą piec pierników z ciasta, przygotowywanego całymi dzieżami; jednak gdyby popróbowwały upiec je w mniejszej ilości, bodaj pod zwykłą blachą, lub chociaż jeden duży piernik w Prodigie'u na gazie lub prymusie,—przekonałyby się, jakie to jest niedrogie i jakie smaczne pieczywo ten piernik domowy. Oprócz pierników robiono też dawniej domowe marcepany, częścią w kształcie różnych grzybków, owoców i tym podobnych ozdób choinkowych, częścią, jako nieduże ciastka, lukrowane pomadą, lub jako duże torty, układane z poszczególnych części, wchodzących jedno w drugie, gwiazdy, koła, półksiężycy itp.

Samo ciasto marcepanowe jest jednym z najłatwiejszych do wykonania. Trzeba tylko pamiętać, że i migdały i cukier na nie, nie powinny być nigdy tłuczone w moździerzu, a tylko tarte na specjalnej maszynce, lub, w braku jej, na tarce.

Na pół kilo migdałów słodkich bierze się piętnaście sztuk gorzkich i siedemdziesiąt pięć deka cukru — pudru; wody różanej tyle, aby ciasto gęste zagnieść i mamy całą tajemnicę królewskiego marcepana. Potem zaś—już tylko gust i fantazja osobista. Wszelkie figurki robi się na surowo: obsypuje czekoladąkar tofelki, lukruje grzybki, farbuję owocyki i t. p.. Na duże torty wycina się figury według foremek papierowych, z cienko rozwałkowanego ciasta, otacza rancikiem z tegoż ciasta, karbuje maczaną w różanej wodzie łyżeczką. Gotowe marcepany przykrywa się kuchenną blachą, na nią sypie się rozżarzone

węgle drzewne i dmie na nie, aż się brzegi rancików lekko zrumienia, a marcepany obeschną. Poczem lukrowanie cytrynową pomadką i ubieranie konfiturami jest znów rzeczą gustu i fantazji. Widzę, że zanadto dałam się unieść miłym wspomnieniom o świątecznych marcepanach: nie wiem, czy między czytelniczkami „Bluszczu” wiele takich się znajdzie, co zechcą teraz pieczeniem ich się zająć. Tymczasem, chociaż cukiernictwo u nas stoi tak wysoko, jak może w żadnym z krajów Europejskich, — dobrych marcepanów wcale nie mamy, i wciąż importujemy też wcale nieciekawe, a raczej wcale niesmaczne wyroby niemieckie via Gdańsk.

Panie, na wsi zamieszkałe, przed samymi Świątami biją zwykle wieprze na tradycyjne świąteczne kielbasy i kiszki. Te ostatnie szczególnie są dobre tylko domowego wyrobu. Nie wiem, czemu masarnie miejskie nie wyrabiają wcale kiszek czarnych z maki, lub drobnych krupek hreczanych, które są prawdziwym przysmakiem, a fabrykują tylko grube kaszanki, z tak małą ilością krwi wieprzowej i tłuszczu, że o smakowitości ich mówić nieposób?

Nakoniec kwestja ryb na wilję jest kwestją, która niejedną gospodynię boli. Mianowicie, jest to objawem, co roku się powtarzającym, że ceny ryb na dni kilka przed wilją tak idą w górę, że tradycyjna ta potrawa staje się niedostępną dla ludzi o skromnych środkach. Przed laty, kilku kiedy po wyjściu Niemców panował u nas wielki brak ryb, takie szalone skoki cen ich były zrozumiałe. Zresztą, było wtedy dane hasło urządzania wilji z dań jarskich, bez ryb zupełnie, i wiele dobrych, a pomysłowych gospodyń doskonałe wilje bez ryb urządzić potrafiły. Ale dzisiaj, kiedy ryb krajowych rzecznych, jeziorowych i morskich mamy tyle, że już w życiu codziennem coraz to droższe mięso zastąpić nam mogą, — drożenie tych ryb przed Świątami jest objawem niezdrowym. Czy w tem jest wina producentów, czy też kupców, czy pośredników handlowych — nie wiem. Dosyć jednak, że to się co roku powtarza i odbija na kieszeniach najmniej zamożnej klasy: inteligencji pracującej. I dziwi mnie to bardzo, że jeśli są taksy na wołowinę, cielęcinę, wieprzowinę, — (zresztą, dzięki genialnej „dokładce” tylko pozorne, przestrzegam!), jeśli jakas babinę z przedmieścia za pobranie dwóch groszy drożej, niż należy za bochenek chleba sąd karze grzywną lub więzieniem, — do tego żadne władze administracyjne, żaden magistrat nie pomyślał o zaopatrzeniu mniej zamożnych obywateli państwa w tanie ryby na wilję, — a przecież

te same karpie, które obecnie kupujemy po cztery złote kilo, na parę dni przed wilją będziemy płacili po osiem do dziesięciu złotych. I co na to mogą poradzić oszczędne gospodynie? Chyba się wyrzec karpia z szarym sosem, a dać sandacza z masłem i jajami. Bo sandacze, ponieważ przywiezione zdaleka, więc są zawsze dużo tańsze, — chociaż to brzmi dziwnie nielogicznie, ale nasze stosunki obecne niejednym taki absurd pozorny w życie wprowadziły.

Z innych zapasów świątecznych, które w dniach ostatnich drożeją, możemy się jeszcze zaopatrzyć w zające, kaczki i gęsi, gdyż wszystkie one, nawet bez mrozu, na zwykłym balkonie — byle nie w zamkniętej spiżarni, doskonale dwa, a nawet trzy tygodnie wisieć mogą. Z białego drobiu tylko bażant tak długo konserwować się może, a w tym roku, w Warszawie przynajmniej, mamy niezwykłą obfitość tego prześlicznego ptactwa.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KOTLETY Z KAPUSTY

(na żądanie pani H. Ż. ze Lwowa)

Sporą główkę kapusty białej, lub włoskiej rozkładać na cztery części i ugotować w osolonym wrzątku, lub, jeśli na obiad ma być rosół mięsny, czy jarski, w tym rosole; nie należy tylko gotować kapusty w rosolu rybnym, ani grzybowym, gdyż to zupełnie jej smak zmieni. Gdy kapusta miękka, odcedzić ją na sicie, odrzucić głąbie i jaknajstaranniej drobno usiekać, lub przepuścić przez maszynkę. Na osiemdziesiąt deka kapusty wbić dwa duże, lub trzy małe jaja i tyle tartej bułeczki, aby się z tej masy dały formować kotlety. Osolić masę do smaku, (kto lubi, może dodać trochę białego pieprzu, lub gałki muszkatołowej). Gotowe kotlety przed samem smażeniem utarzać jeszcze w tartej bułeczce i usmażyć na obficie rumianem maśle. Doskonałym dodatkiem do nich jest sos czysty pomidorowy.

KROKIETY Z KAPUSTY

Główkę kapusty białej, lub włoskiej rozkładać na cząstki, głąby odrzucić, sparzyć raz wrzątkiem, odcedzić powtórnie, ostudzić, przepuścić przez maszynkę. Na pół kilo takiej kapusty zagotować szklankę wody z pół szklanką masła, na wrzące wsypać niepełną szklankę maki; mieszać mocno drewnianą łyżką, aż od rondla odстане; mieszając wciąż, ostudzić. Do zimnego ciasta dodać usiekaną kapustę, dwa jaja całe i masę jeszcze doskonale wyrobić. Formować z tej masy ładne gałki rozmiaru dużego włoskie-

Dr. med. J. ŚWITALSKA

ORDYNUJE W CHOROBAH SKÓRNYCH I KOSMETYCE
LECZNICZEJ CODZIENNIE OD 5 DO 7. KRUCA 31, M. 3.

go orzecha, lub kurzego jaja. W głębokiem naczyniu rozpalić szmalec, lub lepiej fryturę, jak na pączki. Krokiety tarzać w tartej bułeczce i smażyć na tłuszczu tym do silnego zrumienienia. Wyjmować na bibułę, aby tłuszcz osiąknął. Ułożyć w piramidę na serwetce, posypać lekko drobną solą, ubrać gałązkami zielonej lub smażonej na tymże tłuszczu pietruszeczki i podawać zamiast pasztecików do rosółu mięsnego, lub klarownej grzybowej zupy. Jeśli chcemy te krokietki podać jako danie samodzielne, można do nich dać biały sos śmietanowy, lub czysty pomidorowy.

PIERNICZKI DROBNE

Presiać na stolnicę kilo mąki, zrobić w niej głęboki dołek. Wlać weń czterdzieści deka zagotowanego miodu, wymieszać dużym nożem; wsypać czterdzieści deka cukru (kryształ) wymieszać doskonale, dodać 10 deka masła, łyżeczkę sody, trzy jaja, dwie łyżeczki rozmaitych korzeni, drobno utłuczonych (goździków, cynamonu, anyżu, pieprzu, soli, kardymonji, kwiatu muszkatołowego,—co kto lubi i woli). Wyrabiać i wyciągać to ciasto jaknajmocniej, uderzając od czasu do czasu całą bryłą po stole. Gdy ciasto gładkie, zawinąć je w wysmarowany oliwą, lub masłem pergamin i położyć gdzieś w chłodnej spiżarni na trzy doby przynajmniej. Po trzech dniach wybić jeszcze raz mocno to ciasto, rozwałkować cienko, wycinać kieliszkiem małe pierniczki, układać je na posypaną mąką blachę i piec w dobrze gorącym piecu. Po dziesięciu minutach są upieczone. Gdy udane, bardzo rosną. Na razie po upieczeniu są twarde, lecz gdy postoją dni kilka, stają się wyborne. Można je też polukrować czekoladą, rozpuszczoną po połowie z cukrem i z paru łyżkami wody. Takim gęstym lukrem smaruje się górną stronę gorących jeszcze pierników; powinien on od razu na nich zastygać.

WIÓRKI MIGDAŁOWE

Dwadzieścia deka migdałów słodkich i kilka nasć sztuk gorzkich sparzyć, oczyścić z łupin, osuszyć w piecu i przepuścić przez maszynkę. Zmieszać

z dwudziestoma deka cukru (pudru) i dziesięcioma deka mąki przennej. Sześć białek ubić na sztywną pianę, zmieszać, nie rozbijając, z migdałową masą. Blachę lekko ogrzać, posmarować woskiem, rozciągnąć na niej jaknajcieniej migdałową masę. Wstawić do niezbyt gorącego pieca, lekko zrumienić. Gorące jeszcze krajać na blasze ostrym nożem w długie, cienkie na palec, pasy, obwijać na cienkim wałku, chropowatą stroną do wierzchu. Ślicznie wyglądają i są nadzwyczaj smaczne.

CIASTKA ZAPARZANE (ptysie)

Dziesięć deka masła zagotować ze szklanką wody, wsypać w to półtorej szklanki mąki, wybijać mocno na ogniu, aż od rondla odstanie, ucierać dalej, aż stygnąć zacznie. Do ciepłego jeszcze, lecz nie gorącego, wbijać po jednym cztery jaja, wciąż wyrabiając ciasto. Gdy się ciasto dobrze ciągnie za łyżką, posmarować blachę masłem i przez tutkę, lub szprycę kłaść na nią małe ciastka, wielkości laskowego orzecha. Po upieczeniu, część z nich obsypać cukrem tłuczonym z wanilią, drugą część zamoczyć w lukrze przezroczystym lub czekoladowym i natychmiast obsuszyć w piecu. Z tegoż ciasta można formować miniaturowe obwarzanećki, obsypać grubo posiekanymi migdałami, upiec, a gdy ostygną, przekrajać na płask i napełnić zaparzonym kremem.

Pani Elżbieta.

Wiadomo powszechnie, jak wielkie znaczenie ma znajomość stenografii i języków obcych w szeregu kwalifikacyj kandydatów na posady biurowe; kandydaci, posiadający te warunki, mają większe szanse zwycięstwa w walce konkurencyjnej, tak zaostrej w ostatnich czasach; — to też Koło Polek, któremu leżą na sercu interesy pracującej inteligencji, chce przyjąć jej z pomocą, organizując z dniem 1 stycznia 1928 roku popularne kursy języków: **francuskiego i angielskiego** oraz **kurs stenografji** na warunkach bardzo przystępnych.

Informacje w Bibliotece Koła Polek, Nowy-Świat 8/10, od godziny 3 do 7 pp. codziennie, oprócz świąt.

KSIAŻKA DR. JULJI ŚWITALSKIEJ P.T. „KOBIETA NOWOCZESNA“

We wszystkich okresach jej życia

W sposób rozumny i pełen doświadczenia życiowego ujmując zagadnienia życia kobiecego od dzieciństwa aż do starości i niewątpliwie stanie się przyjaciółką każdej nowoczesnej kobiety

CENA 6 ZŁ.

z przesyłką pocztową 6. zł. 60 gr.

Skład główny w Tow. Wyd. „Bluszcz“.

Po otrzymaniu 6 zł. 60 gr. przekazem, lub przez P. K. O. na konto 13.555, książkę natychmiast wysyłamy.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie wysyłamy.

„Potrawy wigilijne“

PRZEPISY I RADY, JAK TANIM KOSZTEM
URZĄDZIĆ ŚWIĘTA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“. Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wvd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.